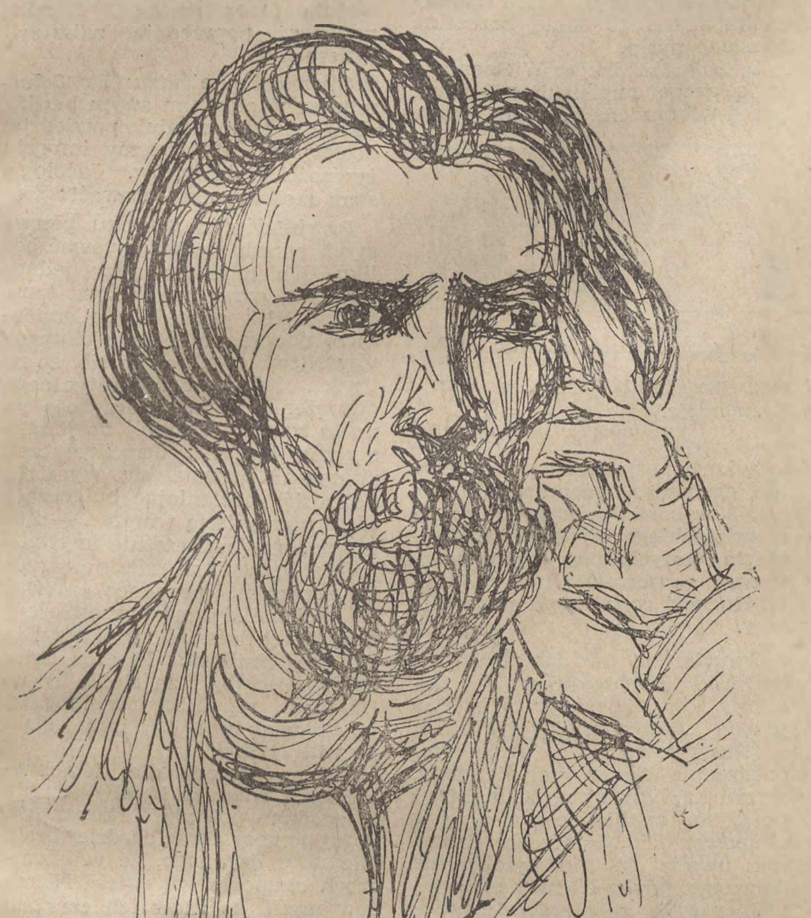
CENA 30 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

NUMER PODWÓJNY 100-101

W numerze piszą: Anna Kowalska, Kazimierz Koźniewski, Edmund Osmańczyk

Odra
tygodnik

NUMER 43-44 (100-101) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 26 PAŹDZIERNIKA 1947 R. ROK III



Roman Zmorski (Rys. Lucyna Wranik)

TADEUSZ MIKULSKI

»Jak meteor«

Szkic o Romanie Zmorskim we Wrocławiu opiera się na literaturze drukowanej, którą podają Korbut i Maliszewski. Nowy szczegół o pobycie Zmorskiego w Cieplicach pochodzi z Bade-Liste von Warmbrunn, 1847, N. 7, poz. 253 (druk w Bibliotece im. Bandtkiego w Cieplicach). — Zapomniany tekst przekładu Izajasza Tegnera w „Zniczu" wrocławskim (Poszyt 2. Wrocław 1852, s. 7—22) był dostępny autorowi w unikatowym (jak obecnie) egzemplarzu Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu (w kolekcji znanego bibliofila pomorskiego, Walentego Fiałka). — Do literatury o Zmorskim przybyły ostatnio dwie cenne pozycje: Stanisław Pigoń, Z nad Gopła na górę Lubin. Roman Zmorski na Łużycach. Przegląd Wielkopolski, II, 1946, N. 4 (gdzie znajduje się opis stosunków Zmorskiego z kulturą łużycką), oraz Julian Krzyżanowski, Romana Zmorskiego „Sobotnia Góra". Zeszyty Wrocławskie, I, 1947, N. 3 (analiza formalna i ideologiczna cytowanej w tekście bajki Zmorskiego).

Kariera pisarska Romana Zmorskiego nosiła od razu cechę pośpiechu i niezwykłości. Debiutował w druku, mając lat 16. W 17-ym roku życia redagował własne pismo (1841), co prawda dosyć krótko, później wzięli mu je z rąk rówieśnicy. Ogłosił pierwszy tom poetycki, nie ukończywszy lat 19 (1843). Chodził wówczas po Warszawie wraz z grupą cyganów literackich, zarośnięty, źle ubrany, stroniący od normalnego życia towarzyskiego, dziki w salonie, swobodny w kawiarence przy ulicy Długiej lub Miodowej, gdzie wszyscy palą lulki, otoczeni wrzawą i chmurami dymu. Młodzież literacka, która mu towarzyszy, o głowach rozwichrzonych, poglądach radykalnych, protestująca hałaśliwie przeciw życiu mieszczańskiego wieku, ma dla Zmorskiego jedno słowo zamiast długiej charakterystyki: pojawił się między nami „jak meteor" (formuła Aleksandra Niewiarowskiego).

Meteor zatoczył pyszny łuk nad placem Krasińskich, rzucił garść wierszy w periodykach literackich Warszawy, zapragnął stworzyć „szkołę mazowiecką" w poezji, niewykształcony, genialny, jak wszyscy w tamtym pokoleniu — i poszybował świecić dalej. Odtąd zmieniał firmamenty, jak redakcje czasopism.

Biografowie poety kładą jego wyjazd z Warszawy na rok 1843 (bodaj na sam jego schyłek) lub 1844. Życie koczownicze, które leżało niejako w kodeksie grupy cygańskiej, rozpoczynał Zmorski w Poznańskiem, ziemi naówczas swobody politycznej. Ale tradycja biograficzna powtarza, że już wtedy namiot wędrowny Romana Mazura został rozbity we Wrocławiu.

Było to istotnie koczowisko przelotne. Nomada literackiego z Warszawy przywiodła do Wrocławia myśl o uniwersytecie. W grupie cygańskiej nikt niemal nie przewijał się przez salę uniwersytecką, kształciły ich rozmowy, lektura, włóczęga po kraju (nie była to zresztą szkoła najgorsza dla poetów, żyjących z etnografii). Ale Zmorski zapragnął przelotnie ładu w tym chaosie twórczości. I powtarzając być może dictum oświecenia: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty", jechał do uniwersytetu we Wrocławiu, gdzie od niedawna (od roku 1841) katedrę języków i literatur słowiańskich zajmował czeski poeta i filolog, Franciszek Ładysław Czelakowski, który właśnie poddawał rewizji żarliwe niegdyś polonofilstwo.

Lata studenckie Zmorskiego trwały krótko, tak krótko, że młody poeta nie zdołał nawet wpisać się do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, które skupiało od r. 1836 młodzież polską we Wrocławiu, o ambicjach literackich. Kłopotliwa absencja Romana Mazura wśród członków Towarzystwa nie ułatwia zlokalizowania w czasie pobytu Zmorskiego we Wrocławiu. Wiadomo jednak, że za sprawą profesora Czelakowskiego Zmorski poznał wówczas Jana Ernesta Smolerja, teologa protestanckiego, który już wtedy — pod przyjazną opieką czeską — przygotowywał się do wielkiej roli budziciela Łużyc. Smoler siedział we Wrocławiu trzy lata: od r. 1842 do wczesnej wiosny r. 1845, zawarłszy z Czelakowskim stosunek bliski i pobratymczy. Otóż przyjmując za podstawę rachunku chronologię studiów Smolerja, pobyt Zmorskiego we Wrocławiu możemy umieścić bodaj tylko w r. 1844. W każdym razie dość obszerna korespondencja Smolerja z Czelakowskim nie daje w tym zakresie żadnego materiału.

Trudno powiedzieć, ile wyniósł Zmorski z tego slawistycznego seminarium. Niewątpliwie teraz właśnie jego mazowieckie spojrzenie rozszerza się na świat słowiański. I może z podniety Czelakowskiego Zmorski wziął się do przekładu fragmentów z cyklu poetyckiego Jana Kollara „Slávy Dcera" (Córka sławy), z którego jednak ukropił zaledwie trzy sonety.

Miałoby się ochotę wiązać z imieniem Zmorskiego „Przekład dwóch powieści gminnych ze serbskiego języka na polski i kilka uwag o tłumaczeniu powieści gminnych szczepu słowiańskiego", które pojawiły się na zebraniu Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego w semestrze zimowym 1844/45 (pod liczbą 21). Pozycja ta dziwnie przylega do całokształtu dzieła Zmorskiego, który pasjonował się przekładami z literatur słowiańskich, serbskiej przed innymi. Ale brak w tym zakresie pewności całkowitej.

Pobyt Zmorskiego we Wrocławiu, przyjęty na rok 1844, wspierają także inne przekazy z twórczości poety. W jego lirykach drobnych znajduje się żałosne „Westchnienie z oddali", datowane w r. 1844, pełne nostalgii do kraju lat dziecinnych, którego początek brzmi:

W obcej, zimnej ziemi,
Pomiędzy obcemi,
O! jak nudno, smutno ciecze
czas!...

Wierszyk ten, który potrafił niebawem poruszyć Słowackiego, mógł łatwo powstać we Wrocławiu, kiedy zapóźniony student pasował się z mocną naturą Cygana. Rygory nowego stanu musiały przychodzić mu z trudnością.

Mimo to w oczach Zmorskiego pozostały jakieś elementy podwrocławskiego pejzażu, jeśli apostrofa poetycka „Do dębu", pisana w roku następnym (1845) już w Wielkopolsce (w miejscowości oznaczonej znakiem L...), wprowadza obrazy, co prawda dosyć ogólnikowe, widziane „gdzieś u błękitnej Odry", wraz z zarysem „zielonego brzegu" śląskiej rzeki. Mocny program antyniemiecki wiersza dojrzewał w poglądach Zmorskiego na pograniczu Śląska i Wielkopolski.

„Disiecta membra" biografii Romana Mazura nie dozwalają na wywód, wolny od wątpliwości. Cygan literacki rzadko troszczy się o materiał dla swojego historyka. Wozem cygańskim można przejechać Europę, lekceważąc meldunek policyjny. Ale wynika z całego materiału, że przelotne studia Zmorskiego we Wrocławiu odbyły się istotnie około r. 1844.

Po czym meteor zawinął nieoczekiwanie — do przystani małżeńskiej. Panna Tekla Parczewska z wielkopolskiego Osieka wzięła na siebie próżny trud uporządkowania życia cygana, który teraz włóczy się po kontynencie, jak niegdyś ulicami Warszawy. Dawnym obyczajem, to znaczy rozsypując strofy i chude talary pruskie, Zmorski wyprawił się po ślubie na rozeznanie świata. Pani Tekla wraz z mężem. Jedna droga prowadziła w tym kierunku z Osieka — przez Wrocław.

Opędzając się niechętnie przed studenckim wspomnieniem („O, jak nudno, smutno ciecze czas!"), Zmorscy przejeżdżają przez miasto uniwersyteckie, kwapiąc się do Cieplic pod Jelenią Górą. Tutaj „Herr Roman Zmorski, Particulier, mit Frau" zgłasza swoje przybycie z Osieka w dniu 11 lipca 1847, wraz z osiedleniem się na pobyt letni w willi przezwanej „Freudenberg". Ale równinny kraj między Bugiem i Narwią ciągnie się przed Zmorskim aż do stóp Karkonoszy.

Do Osieka Parczewskich wraca się, jak do domu. W tymże roku małżeństwa Zmorski drukuje w Ostrowie szkic fantastyczny „Lesław" (1847, wyd. 2 — Pleszew 1849), który w sąsiedztwie wielkopolskim wprowadza cygana warszawskiego między postacie bajronistów w romantycznej szkole. Zmorski wraca z wakacji, by dopilnować druku. W przypływie dobrego natchnienia, na przełomie lat 1847 i 1848 powstaje w Osieku „Wieża siedmiu wodzów. Pieśń z podania", o niejasnej genezie, która prowadzi do wspomnień mazowieckich i jednocześnie do skandynawskiej sagi (w tym właśnie punkcie autor nie tłumaczy się jasno).

Po czym, oderwawszy się od kłopotów wioski (gdzież tam orać cyganowi?), Zmorski prysnął w podróż, co się zowie. Zima 1848 w Akwizgranie, wiosna w Brukseli. Z Brukseli łatwy szlak wiedzie do Paryża: pokłonić się poetom. Gdy nie starcza zasobów na wojaż dłuższy, trzeba budę cygańską obracać z powrotem do Osieka. Już w lipcu r. 1848 znalazł się Zmorski w Saksonii. Masyw Wrocławia pojawia się na tych drogach, dokądkolwiek prowadzą. Dnia 9 lipca 1848, w Dreźnie, Zmorski zastąpił ulicę Juliuszowi Słowackiemu. Skądże to? Z Wrocławia! Ze spotkania z Matką! Wrocławia niepodobna wyminąć, kieruje niemal krokami tamtych ludzi.

Zmorski ma ledwie tyle czasu, by strząsnąć w domu pył ze stu gościńców. Teraz rusza na Łużyce. Z Janem Smolerjem, towarzyszem młodości, dobrym przyjacielem, Roman Mazur przemierzył cały kraik, unosząc z niego liczne notatki: teksty podań i pieśni łużyckich, na świadectwo słowiańskiej wspólnoty. W Budziszynie, kiedy pani Tekla pilnuje Osieka, Zmorski jął wydawać pismo tygodniowe „Stadło" (1849, Nr 1—12), poświęcone „rzeczom polskim i słowiańskim". Tak w cieniu postaci Smolerja Zmorski służy sprawie narodu łużyckiego piórem i wielkim entuzjazmem osobistym.

Osiek jest dla poety zawsze miejscem odpoczynku. Tu zawija „meteor", by zaczerpnąć siły. W Osieku np., dnia 1. I. 1851 datuje Zmorski wiersz „Do Adama Mickiewicza", przesyłając mu „Wieżę siedmiu wodzów", ogłoszoną w tych latach drukiem w Poznaniu (1850). Ale z Budziszyna, gdzie go zatrzymały sprawa łużycka i pasja ludoznawcza, Zmorski wymyka się raz po raz do Belgii, do Heidelbergu, do Weimaru... Zamiast tłumnego taboru cygańskiego, jak w młodości warszawskiej, są to teraz wyprawy samotne, w których zaspakaja pisarz zmysł ruchliwości umysłowej i fizycznej, oraz potrzebę działania, odczuwaną przez całe pokolenie.

Śląsk, ziemię między Łużycami i Osiekiem, Zmorski przemierza w tej włóczędze wiele razy: gdy powraca z Europy przed ganek osiecki, gdy zbiega z niego posuwiście, nie bacząc na łzy pani Tekli. Tyleż razy przesuwa się i przez Wrocław. Nie zostawiając dat, ani adresów hoteli, zagubiwszy na wszystkich postojach korespondencję osobistą, Zmorski nie dał żadnej wskazówki do swojej znajomości miasta. Wrocław — był to dla niego próg świata, nie zaś cel wędrówki.

Gdy zawodzą dokumenty biograficzne, nie zawiodą być może karty twórczości. Więc przebiegamy je pilnie. Szczupłe dzieło Romana Zmorskiego liczy niewiele stronic.

Wypełnia je po brzegi folklor polski i słowiański: poeta żywi się podaniami i baśniami ludu, jak klasyk żywił się wyobrażeniem mitologii. Kultura historyczna przedstawia dla niego wartość wtórną i pochłania go tylko wówczas, gdy poeta wykrywa w niej ślady pierwotne. Ten cygan jest romantykiem i dzieli z całą generacją doktrynę kultury ludowej.

Z wielokrotnej przechadzki po Wrocławiu nie przeniósł Zmorski nic do swojej poezji. Architektura gotycka pozostawiła go turystą obojętnym. Z wrocławskiej sali uniwersyteckiej nie ocalił żadnej twarzy ani postaci. Ale gdy nie urzekły go pęki wież z wyspy tumskiej, zadziwiła i porwała Sobótka:

...znakomita w polskim niegdyś Śląsku, o kilka mil poza Wrocławiem położona góra — dotąd Sobótką od Polaków, Zobtenberg od Niemców zwana. — Tradycja i kronikarskie wzmianki wspominają o niej, jako o szeroce czczonej niegdyś...

Ciemny profil góry śląskiej Zmorski wprowadził do opracowania literackiego baśni „Sobotnia Góra", która przedstawia wariant poetycki jednej jeszcze „Wyprawy po żywą wodę", na czele cyklu prozą „Podania i baśni ludu na Mazowszu". Turystyka śląska Zmorskiego dostarczyła mu bogatszych materiałów. Dwie jeszcze karty w notatniku poety-etnografa zostały zapisane na Śląsku: podanie o Krwawym Polu „w okolicach miasta Międzyborza, w bliskości wsi Czarnego Lasu", oraz legenda o wojsku św. Jadwigi, posłyszana w Trzebnicy. Zapisowi z Trzebnicy nadał Zmorski cechę szczególnej autentyczności, zapamiętawszy dokładnie pejzaż, historię, tradycje klasztoru. Wspomnienie pobytu autora w miasteczku czytać można w słowach:

Dziś... przy kościele trzebnickim kilku tylko jest księży, z których jeden przynajmniej umie po polsku.

Gdy nie udało się napotkać Romana Zmorskiego na żadnej miejskiej promenadzie, wśród cegieł i kamieni, powiązanych w łuki, zadzierającego głowę do wież, rzeźby kościelnej i witraży, poeta wierny swoim upodobaniom powędrował drogą polną, by gromadzić świadectwa kultury, ocalone przez lud śląski. Tak zyskujemy właściwe tło dla cyganowania Zmorskiego: niegdyś bywalec kawiarni warszawskiej, zamienił teraz wąską przestrzeń ulicy na szeroką perspektywę kraju. I odrzuciwszy dawną lulkę, słucha z ciekawością i pokorą, jak na zboczach świętej góry Sobótki, wśród Krwawego Pola pod Czarnym Lasem, na trzebnickim wzgórzu — przemawiają wieki. Dopiero wiedza ludu doprowadza go do historii. Duma Zmorskiego, niemal w guście Niemcewiczowskim: „Skarbek. Wspomnienie z roku 1107" ożywiła Psie Pole pod Wrocławiem postaciami dawnej klęski niemieckiej. Ale nie z pergaminów, tylko z żywej pamięci ludu czerpie ten etnograf romantyczny prawdę o przeszłości. Jest to jego „wyprawa po żywą wodę", zatajoną w górach i źródliskach Śląska.

W r. 1852 Zmorski miał gotową książkę „Podania i baśni ludu na Mazowszu (z dodaniem kilku śląskich i wielkopolskich)". Gdy szukał wydawcy dla rękopisu, na którego czele kładł pseudonim „Roman Zamarski" (jakby dla celowego odróżnienia zbieractwa i pracy poetyckiej), udał się ze skryptem do Zygmunta Schlettera we Wrocławiu. Rozmowy nie trwały długo, Schletter rywalizował podówczas z Kornami w wydawnictwie polskich autorów. Jakoż książka Zmorskiego ukazała się z drukarni wrocławskiej (1852), na potwierdzenie licznych kontaktów, które powiązały pisarza i miasto.

Świadectwa bibliograficzne mówią wiele o ludziach i środowiskach. W periodyku „Znicz", piśmie zbiorowym młodzieży polskiej, którego dwa „poszyty" ogłosił Kazimierz Szulc we Wrocławiu, w drugim tomiku za r. 1852 zastanawia podpis autorski „Roman". By usunąć powstałe wątpliwości, trzeba spojrzeć na tytuł fragmentów. To Roman Zmorski.

Z wielkiego dzieła Izajasza Tegnera „Saga Frithjofa" (1825) Zmorski przełożył dwa ustępy: „Dziedzictwo Frithjofa po ojcu" i „Przybycie Frithjofa do Angantyra", znane z wydania zbiorowego „Poezji" (1866). Ale fragmenty pojawiły się poprzednio w „Zniczu", na porękę zażyłości Zmorskiego z Wrocławiem. Stanowią one pierwotną (nie badaną dotychczas) redakcję tekstu, odmienną w szczegółach stylistycznych i przygodnych wykolejeniach rytmu od wersji z r. 1866. Wybór „Sagi" Tegnera do pracy przekładowej raz jeszcze potwierdza zainteresowania i studia Zmorskiego, który dociekał do źródeł kultury pierwotnej. Postawa podobna zbliżać mogła Skandynawię i Łużyce. Zmorski sięgnął prawdopodobnie do jednego z licznych przekładów niemieckich „Sagi", kiedy nadawał jej (we fragmencie V) ulubioną formę ośmiozgłoskowca nierymowanego. Gdy po kilkunastu latach poprawiał dla edycji zbiorowej tekst przekładu (który tymczasem zdublował Jan Wiernikowski, Petersburg 1861), zabiegał najwyraźniej o postać bardziej stylową w archaizacji języka, trzebiąc pilnie usterki wczesnej redakcji.

Taki jest Wrocław Romana Zmorskiego: Przechodzą przez miasto szlaki na Łużyce i zachód europejski, często przez poetę deptane. Na gościńcu tej wędrówki spoczywa niejeden wątek baśniowy, który Zmorski podnosi z pyłu i przyobleka w słowo mazowieckie. W miarę rosnącej zażyłości z miastem pisarz znajduje tutaj swoich wydawców i czytelników.

Ale zbytnią dociekliwością w szczegółach nie zatrzymamy biegu życia Romana Zmorskiego. Już rok 1855. Zmorski z Paryża wyjeżdża do Konstantynopola, jako ajent dyplomatyczny Adama Czartoryskiego. Otrzymał misję do Serbii. Osiada w Belgradzie... I w nieznużonym ruchu i działaniu tracimy go z oczu. Jeszcze nam świeci.

Drobny odcinek swojego łuku Roman Zmorski przemierzył nad Sobótką, nad Wrocławiem. Jak meteor.

Tadeusz Mikulski.



Wrocław. Fragment Ratusza Fot. J. Bułhak



Wrocław. Kościół św. Krzyża i figura św. Jana Nepomucena Fot. J. Bułhak

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

Księżyc w Sudetach

Rozdarty w strzępy ciszy, zapodziany świat,
zapomniał mnie policzyć, na darmo mnie skradł,
przeto szczyty rozpalam od wieków i lat
ja — westchnienie milczących, antyfona — księżyc.

Od was tak to wygląda, że: ...noc w górach szła...
więc mówicie: Sudety i szeptacie: mgła —
cóż wy wiecie, mijając beze mnie, za dnia
o mnie, gdy z gorzkiej rosy wstaję o zachodzie.

Kiedy podchodzi pierwszy, najwierniejszy las
i patrzy we mnie z bliska i milczy mi w twarz —
aż się echa potoków poplątają w nas,
wtedy w noc odpływamy, w piątą porę roku.

Przez najzimniejszą ciszę, ze stoku na stok
wzbiera w gałęziach nocy księżycowy sok,
czas przeze mnie cierpliwie przecieka we zmrok,
a wam, wierzącym w zegar, trudno dożyć świtu.

Szepty z liści ku trawom, trawami od gór —
już nad góry wyrosły w granatowy chór,
w chmurach molowe basy; — w takt basowych chmur
śpiewa noc, wiatr omiata popiół gwiazd na nutach.

Zamykam srebrne sprawy i trwanie i mgły,
odchodzą sny od szczytów a ze snami — my,
wiatr czesze na Szrenicy pierwsze pióra pni —
kamień stoczył się w przepaść: ostatni lunatyk.

Co robią Niemcy

Parteitag SED - Słowo do Polskiej Misji Wojskowej - Inteligencja polska widziana przez Niemców - Program

OŻYWIENIE polityczne, jakie nastąpiło ostatnio w sowieckiej strefie okupacyjnej Niemiec, nie jest bez znaczenia dla Polski i szkoda, że prasa polska nie wysłała sprawozdawców na Parteitag SED i kongres CDU. Na kongresie CDU witany był entuzjastycznie przedstawiciel radzieckiej władzy okupacyjnej, co świadczyłoby o zwycięstwie radzieckiej polityki okupacyjnej w stosunku do Niemców. SED otrzymała depesze z życzeniami od wielu partii politycznych z zagranicy, z Polski telegramy nadesłały PPR i PPS. W obu telegramach podkreślono, że SED prowadzi jako jedyną walkę z reakcją, w której to walce obie partie polskie życzą niemieckiej partii jedności wiele powodzenia. W telegramie PPR, którego treść opublikowana została w organie naczelnym SED „Neues Deutschland", czytamy: „Wierzymy, że jedynie socjalistyczna partia jedności, jednocząca najbardziej postępowe części narodu niemieckiego, stojąca pod przewodnictwem ludzi, którzy w okresie dyktatury hitlerowskiej wiernie stali pod sztandarami wolności, pokazuje narodowi niemieckiemu właściwą drogę, wiodącą do odzyskania zaufania narodów Europy". Nawet Domowina, organizacja Łużyczan, przysłała z Budziszyna telegram z życzeniami, skomentowany przez samego Wilhelma Piecka, podkreślającego konieczność wolności kulturalnej dla Łużyczan, gdyż „jedynie jedność naszego narodu da szczęście również i innym jego częściom". Trzeba na marginesie tego Pieckowego komentarza przyznać, że CDU mniej surowo traktuje Łużyczan, mimo iż ostatnio polityka Domowiny orientuje się na SED. CDU w wielu miejscowościach na specjalnie w tym celu zwołanych wiecach wypowiadało się ostatnio również i za pewną, drobną chociażby na razie, formą wolności politycznej Łużyczan.

NA Parteitagu SED o Polsce mówiono nie mało. Szkoda, że Polska Misja Wojskowa w Berlinie nie zebrała tych głosów, by udostępnić je polskiej prasie. Dałyby one podstawę do odpowiedniego ustosunkowania się do wielu niemieckich polityków, do całych grup w tej lub innej części Niemiec. Byłoby to zwłaszcza pomocne prasie prowincjonalnej, która nie ma możności zbyt dokładnego i częstego uzgadniania pewnych kierunków i form naszego stosunku do Niemiec z najwyższymi, odpowiedzialnymi w tym względzie czynnikami w Warszawie. Najczęściej zaś ta prasa prowincjonalna ma najwięcej do powiedzenia w sprawie niemieckiej, jest powołana do urabiania na nią poglądów (prasa ziem zachodnich). Szkoda także, że w ogóle rzadziej się u nas informuje o głosach niemieckich przychylnych Polsce, wzbudzających zaufanie czy to ze względu na formę wypowiedzi, czy też ze względu na autora. Częściej prasa polska jest poruszona głosami szowinistycznymi, co wynika ze słusznej i uzasadnionej historycznie atmosfery czujności i obrony. Musimy jednak wiedzieć, na kim w Niemczech można się będzie oprzeć w nadchodzącej nowej epoce stosunków polsko-niemieckich. Musimy znać opory i ich przyczyny, chorobę wieków występującą w formach niemiłych, ale dających się zwalczyć za pomocą medycyny niemieckiej, na ich własny użytek. Różne narody poszukują w Niemczech ludzi i grup, dają pieniądze i pochwały, złoto i kadzidło. Całe Niemcy to jeden wielki castrum corruptionis, glina dla polityków międzynarodowych.

ARTYKUŁ, który w rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej ukazał się w kulturbundowym tygodniku „Sonntag", jest powodem tych kilku marginesowych uwag. Artykuł ten daje podstawę do szukania kontaktu z ludźmi, którzy przez zamieszczenie go w organie Kulturbundu solidaryzują się z jego tezami. A tezy te są następujące:



Prężność gospodarcza Niemiec widoczna jest coraz częściej. Plan Marshalla zamierza w pierwszym rzędzie odbudować Niemcy. Oto fragment targów w Hannowerze, hala samochodów i traktorów.

Stosunki polityczne między Niemcami a Polską nigdy nie układały się dobrze. Jedyną formą zbliżenia skuteczniejszego, ułatwiającego zwalczenie przesądów i narosłych przez wieki różnic jest szeroko rozbudowana współpraca kulturalna. Niemcy nie znają właściwie w ogóle literatury polskiej. Czytamy w artykule, że inteligentni, literacko wykształceni Niemcy dzisiejsi, gdy mowa jest o literaturze polskiej, wspomną zaledwie Przybyszewskiego, poetyckie pokrewieństwo Kasprowicza („Mein Abendlied") z Dehmelem i Mombertem, Wyspiańskiego, (który zrazu nie chciał się zgodzić na przekładanie swych dzieł na język niemiecki, uważając to za „niegodne Polaka", powierzając jednak w końcu swe prawa firmie Georg Müller w Monachium), oczywiście „Chłopów" i „Quo vadis". Ale już o trójcy wieszczów głucho a zakurzony i przebrzmiały poetycko przekład „Pana Tadeusza" dokonany dawno już przez Siegfrieda Lipinera jest dziś w Niemczech prawie białym krukiem. Na Polaków Niemcy patrzeli zawsze oczyma swych wschodnich junkrów, oceniających zdolności narodu według przepracowanych dni i godzin na roli przez najemników z Polski. Inteligencję poznawali w karczmach miast uniwersyteckich, gdzie zamożna przeważnie młodzież szlachecka przepijała imię i dom. „Für die polnische Intelligenz hatte man kein Verständnis". Hitler inteligencję polską postanowił zniszczyć. W pismach wojskowych i czytankach frontowych publikowano ośmieszające inteligencję polską powiastki. „Każdy żołnierz nasz inteligentniejszy jest od każdego polskiego inteligenta. W to wierzcie, bądźcie zatem pewni siebie w wystąpieniach przeciwko nim." Wiemy, jak ta pewność siebie wyglądała. Artykuł „Sonntagu" wszystko to wspomina, komentuje wnikliwie i surowo, jest zatem podstawą, by uważać go za wypowiedź cenną tak w procesie wychowawczym narodu niemieckiego jak i na drodze nowych dziejów polsko-niemieckich.

KONTAKTY z Polakami ceni się w Niemczech nade wszystko. Nawet w takim „Tagesspieglu", oddanym zupełnie w służbę Anglosasom, napisano niedawno, że cenniejsze niż poznawanie Ameryki są kontakty b e z p o ś r e d n i e z polskim światem kulturalnym. Sądzę, że jeśli pragniemy wziąć udział w demokratycznym odnowieniu Niemiec, a uczynić to musimy, droga współpracy kulturalnej będzie najpełniejsza i równocześnie najbardziej ostrożna. W polityce nie wypełnione zobowiązania powodują nieraz rozmaite komplikacje, w życiu kulturalnym zdarzają się one często i nie uważa się ich za grzech powodujący takie czy owe przykre następstwa, najwyżej za brak dobrego wychowania. Wydaliśmy już po wojnie jedną powieść niemiecką (nową), w tłumaczeniu są dwie, na sceny polskie mają wejść dwie sztuki niemieckich autorów, stworzone w czasie lub po wojnie. Tymczasem Niemcy niczym się nam dotąd nie odwzajemnili. Ale pragną nas poznać, tłumaczyć, czytać i oglądać na scenie. Ktoś jednak w Polsce musi się zająć propagandą kultury polskiej na terenie Niemiec. Sława jest organizacją. I zgoda jest niczym innym. Przy Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie musi istnieć silny referat kulturalny, który szukałby i organizował tłumaczy z polskiego na niemiecki. Niedawno odbywał się w Hamburgu zjazd Schutzverbandu der deutschen Autoren. Przyszło zaproszenie do władz Zw. Zaw. Literatów Polskich. W ministerstwie wyrażono życzenie, by nikogo na razie nie wysyłać. Ale przecież mogli przynajmniej pojechać obserwatorzy, tym więcej, że byli obserwatorzy innych związków pisarzy narodów Europy wschodniej. Sława i zgoda to dzieła propagandy a propagandę trzeba umieć robić. „Łuk triumfalny" wyszedł w roku 1946 w dziewięciu językach. W tyluż powinno było wyjść „Z kraju milczenia". Ale propagandę trzeba umieć rzeczywiście robić. Na terenie Niemiec, gdzie działają najlepsze sztaby propagandy Rosji, Ameryki, Anglii i tylu innych narodów, nie wyłączając Czechów, jesteśmy w ogonie przeobrażeń niemieckich, a nawet w tym ogonie stanowimy tylko małe, szare, nie błyszczące piórko. Sami Niemcy zaś nawet pragną, byśmy przeszli do ofensywy.

WISZ.

EDMUND OSMAŃCZYK

»Zaczyna się...«

Berlin, jesień 1947.

Czy pamiętacie tę warszawską okupacyjną anegdotę o pobiciu żandarma niemieckiego? Oczywiście, więc tylko w skrócie ją przypomnę:

Przed sądem niemieckim staje dwóch Polaków oskarżonych o pobicie żandarma niemieckiego w biały dzień w stanie trzeźwym, na ulicy Marszałkowskiej. Pierwszy oskarżony tłumaczy się, że żandarm wlazł mu na odcisk, a że odciski ma bardzo bolesne, a z natury jest krewki, więc uderzeniem pięści odepchnął stojącego mu na nodze Niemca.

— A czym tłumaczy drugi oskarżony swoją napaść na uderzonego już żandarma — pyta sędzia.

Na co drugi oskarżony:

— Ja myślałem, że się już zaczęło...

Ta miła anegdota przypomina mi się obecnie w Niemczech, kiedy czytam i słyszę o stale się powtarzających od pewnego czasu napadach Niemców na żołnierzy armii okupacyjnych. Oczywiście, że zbieżność protestów jest tu tylko tematyczna, i nie mają one żadnej podstawy wspólnej. W Warszawie niecierpliwość polska miała swe źródło w potwornym terrorze. W Berlinie, Frankfurcie, czy Hamburgu niecierpliwość niemiecka ma źródło swe w zbyt śpiesznym wyciąganiu konsekwencji z demokratycznej łagodności okupantów i z demokratycznej... niezgody między okupantami.

Najlepiej zilustrują twierdzenie to jednak fakty. Oto one, zanotowane w ciągu jednego upalnego, letniego tygodnia:

Opowiastka pierwsza: W sektorze amerykańskim Berlina, na dworcu oficer rosyjski zwymyślał policjanta niemieckiego za niegrzeczną odpowiedź na jakieś zapytanie. Policjant niemiecki wobec publiczności niemieckiej odpowiedział jeszcze ostrzej, na co oficer rosyjski schwycił Niemca za kark, chcąc go zaprowadzić do komendy alianckiej. Nadbiegł na to drugi policjant niemiecki, który, wyciągnąwszy rewolwer, bez ostrzeżenia strzelił do oficera rosyjskiego, raniąc go ciężko w brzuch. Publiczność niemiecka z okrzykami „so ist richtig" rozbiegła się na widok przybywającej żandarmerii amerykańskiej, która aresztowała obu policjantów oraz przewiozła do szpitala rannego oficera rosyjskiego. Policjanci niemieccy noszą te same zielone mundury, które znamy z okupacji i te same bezczelne spasione pyski.

Opowiastka druga: W Spandau, w sektorze angielskim Berlina, przed więzieniem, gdzie odbywają swą karę norymberscy zbrodniarze, gromada, złożona z około 30 do 40 wyrostków, napadła na amerykańskiego wartownika. Nadbiegła natychmiast straż więzienna uratowała Amerykanina od linczu i rozproszyła napastników.

Opowiastka trzecia: Dziennik berliński „Nachtexpress" dał obszerny opis „obrony" Włochów przed „fraternizacją" Włoszek z Amerykanami i Anglikami (zdzieranie sukien, golenie głów, wyzwiska, listy z pogróżkami itp.) po czym, analizując sytuację w okupowanych Niemczech, dziennik uważa, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby Niemcy zareagowali równie spontanicznie przeciwko fraternizującym się Niemkom, zasługującym na nazwę dziewek. — Pierwsza tego rodzaju odezwa nie pozostała bez echa, z tą jednak różnicą, że wszystkie napaści (około kilkunastu w ciągu jednego tygodnia) skierowane były przeciwko idącym w towarzystwie Niemek oficerom, czy żołnierzom alianckim. W jednym wypadku patriota niemiecki zerwał naramienniki oficerskie pewnemu Amerykaninowi, który szedł z niemiecką dziewczyną. Jeden Francuz został oblany cuchnącą cieczą.

Opowiastka czwarta: Trzech żołnierzy amerykańskich zostało ciężko pobitych przez Niemców, gdy samotnie przechadzali się po miejskim parku.

Opowiastka piąta: W strefie amerykańskiej wykryto skład wojskowych aparatów radio-nadawczych.

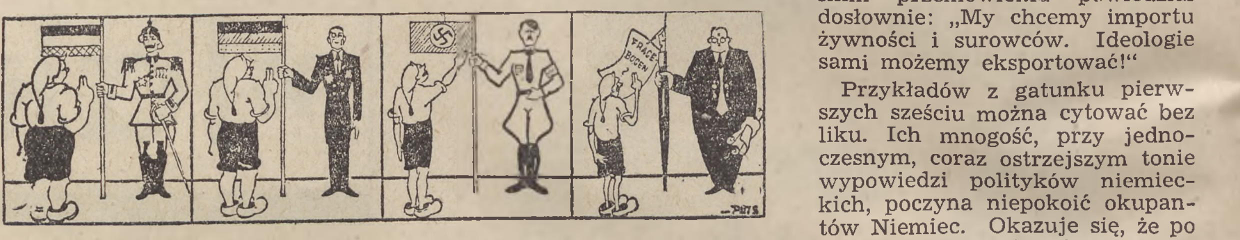
Opowiastka szósta: Na cmentarzu żydowskim Schönhauser Allee nieznani sprawcy rozbili nagrobki postawione na nowo po wojnie przez gminę żydowską, ponieważ poprzednie zniszczyli hitlerowcy.

Opowiastka siódma: Dr Schumacher w ostatnim swym berlińskim przemówieniu powiedział dosłownie: „My chcemy importu żywności i surowców. Ideologie sami możemy eksportować!"

Przykładów z gatunku pierwszych sześciu można cytować bez liku. Ich mnogość, przy jednoczesnym, coraz ostrzejszym tonie wypowiedzi polityków niemieckich, poczyna niepokoić okupantów Niemiec. Okazuje się, że po dwóch latach demokratycznego odprężenia Niemcy zaczynają na nowo rozgrzewać swój nacjonalistyczny kocioł i demokratyczna pokrywa zaczyna się wyraźnie podnosić, odsłaniając bulgoczące starą nienawiścią wnętrze. — Zapewne, że jednocześnie krystalizują się powoli niemieckie ośrodki rozsądku, pragnące zerwać z nacjonalistyczną przeszłością. Cóż, kiedy doświadczenie uczy, że po wilhelmiźmie Niemcy nienacjonaliści byli za słabi, by utrzymać republikę weimarską, jakżeż więc mają być mniej słabi po hitleryźmie.

Jedyną pomocą dla demokratycznych Niemiec byłaby twarda i zgodna polityka okupantów. A tej pomocy coraz bardziej brak. Nic więc dziwnego, że w Niemczech okupowanych wielu Niemców myśli, że znów ich czas się „zaczyna"...

Edmund Osmańczyk.



Michel przygotowuje się do nowej roli. Przysięgał zawsze, a teraz przysięga na demokrację.

(Rysunek z pism niem.)

Rozmowa wrocławska

Kiedy patrzymy na powstające wielkie sklepy, na pospieszne porządkowane chodniki, podnoszone mosty, coraz liczniejsze tramwaje wrocławskie — trudno pomierzyć stąd odległość od tych depresji — miast w głębi kraju, gdzie życie stoi od lat.

W pobliżu budynków Uniwersytetu, w jego kręgu — w literalnym i przenośnym znaczeniu szukamy redakcji „Zeszytów Wrocławskich". Na placu Nankera pod numerem siódmym, w lokalu Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego przyjmuje nas sekretarz redakcji w sposób wyszukanie uprzejmy.

— Czy będzie wielką niedyskrecją, jeśli zapytam Pana o związek Ich doskonałego czasopisma, którego radosny roczny jubileusz dzisiaj obchodzimy, z Kołem Miłośników? — rozpoczynam rozmowę przechodząc sale, komentując barokowy styl umeblowania: od pięknych gablot z kryształami po realistyczne szczegóły krzeseł różnego autoramentu.

— Z największą radością rzucę światło na ową zależność. Będzie to zarazem danie świadectwa prawdzie — dank wdzięczności, dla Tych, którzy pomogli nam stawić krok pierwszy.

Na początku był Uniwersytet. Magnes — jeśli wolno tę wspaniałą organizację porównać do rzeczy tak bezdusznej. Niestety — na palcach można policzyć wydarzenia kulturalne we Wrocławiu, które by się działy poza Uniwersytetem. Koło Miłośników — jego to grzech a może prawo sił w naszym mieście rządzących — powstało przy owym magnesie, żyje przy nim. Przeprowadziło przez salę, na którą patrzymy zarówno osoby literaturze i kulturze polskiej najbardziej zasłużone jak i pióra najmłodsze, debiutujące, tematy wrocławskie obok spojrzeń na literatury i światy zamarłe, poezje i gawędy. Czwartki stworzyły bazę trwałą i cenną.

Przyszedł wreszcie moment, gdy trzeba było dać wyraz trwały treściom, środowisku, tendencjom. Dać wyraz trwały, zaklasyfikować go do rozpowszechnienia, przekazania.

— Wydawanie kwartalnika różni się jednak znacznie od poezji — dorzucam. Oprócz słów potrzeba jeszcze papieru, pieniędzy — aby dać wyraz tym głębokim myślom i problemom, jakie odczytujemy z kart Ich interesującego Periodyku.

— Czuję się wzruszony zarówno zrozumieniem naszych trosk, jak i życzliwością, widną z jakże pochlebnych określeń naszego młodego, dopiero jednorocznego pisma. Powstało ono dzięki energii p. Anny Kowalskiej, trudowi współredaktora prof. Tadeusza Mikulskiego. Byt zaś materialny zawdzięcza uczynności p. Wojewody Stanisława Piaskowskiego, a Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Fundusz Kultury Narodowej — zechciały również ocenić pozytywnie nasz wysiłek.

— Może zechce mi Pan wyjaśnić podstawowe założenia Ich pisma, zarówno redakcyjne jak i ideologiczne?

Pan sekretarz redakcji, z właściwą pracownikom naukowym dokładnością (jak mi wspomniał poprzednio, jest asystentem przy katedrze lektur obowiązkowych) demonstruje mi na okładce „Zeszytów" ich ideologię:

Od czasów najdawniejszych pojęcie zeszytu — cahier pozwalało na wiązanie treści dość swobodnie szeregowanych. Mamy więc prawo układać rozprawy, kroniki, sprawozdania — bez troski o ich systematyczny układ, powtarzanie stale tych samych działów. Cecha „wrocławskie" ma lokalizować jedynie redakcję. Redakcję z najzaszczytniejszym tego słowa znaczeniu. Pismo nasze nie jest regionalne — co nie oznacza, abyśmy unikali tematów i powiązań z Dolnym Śląskiem. Ambicją naszą było postawienie na trudnym, peryferycznym, organizowanym dopiero terenie — konstrukcji o walorze ogólnopolskim. Chodziło nam o to, aby brano „Zeszyty" do ręki nie przez pobłażliwą protekcję: jeszcze jeden dowód prowincjonalnej miary i łamania trudności na Ziemiach Odzyskanych, albo dla ich istotnej wartości, wartości bezwzględnej.

Zapisujemy sobie jako poważne osiągnięcie, że utrzymaliśmy przez cały, długi okres naszego istnienia — i absolutny i duży dystans od publicystyki pospiesznej, nieprzemyślanej, podwórkowej, tygodniowej...

W tym miejscu pan sekretarz przerwał swój wywód, który prowadził przecież z dużym zapałem. Po chwili podjął:

— Mamy w Polsce liczne periodyki literackie, by wymienić poczytne pismo, którego Przedstawicielkę mam zaszczyt gościć. Najbliższe nam — to krakowska „Twórczość". Kwartalnik nasz szereguje jednak — jak w podtytule — na pierwszym miejscu prace krytyczne, twórczości oryginalnej dając drugie. Przeglądy mogą służyć wraz z kroniką regionowi, recenzje uzupełniają rysunek całości.

Obok pojęcia „zeszytu" — jako cechy charakterystycznej udało nam się osiągnąć w przeważającej części artykułów cechę w publicystyce tego typu dość rzadką — swoisty styl szkicu literackiego. Uważamy, że krytyka i historyka literatury obowiązują również te wymagania, które bezlitośnie stawia pisarzom. Dbałość o formę rozprawy literackiej — to nie tylko poprawność językowa, syntaktyczna, logiczna. Krytyka i wiedza o literaturze operują na ogół zabójczo ciasną frazeologią, szkodliwą tyleż dla czytelnika co dla wykładanej myśli.

Trzecim wreszcie wyznacznikiem naszej specjalności jest uprawianie szkicu literackiego. Gatunek ten był i jest w Polsce zupełnie wyjątkowo uprawiany. Operuje się u nas przede wszystkim monografią jako narzędziem podstawowym, oraz przyczynkiem jako rozmiarem mniejszym. Szkic — powszechny we Francji, godny wprowadzenia na nasz teren, może dać bogatą wiedzę o faktach literackich.

Oto cechy, które różnią nas od wychodzących obecnie periodyków krytycznych, literackich, społecznych. Inne cechy — takie, które wyznaczyłyby różnice ilościowe, które umieszczają nasz kwartalnik w grupie periodyków dobrych lub słabych — pozostawiamy do określenia naszym czytelnikom.

— Czy nie da się ich odczytać z artykułów i z pocztu pisarzy, których pozyskaliście Panowie?

— Układając nasz roczny dorobek w zespoły tematyczne wymienię na pierwszym miejscu artykuły, które prezentują w jakiś sposób nasz stosunek do rzeczywistości społecznej i kulturalnej. Stanisława Kulczyńskiego „Dwie prawdy" i Jerzego Kowalskiego „Człowiek" mogą zorientować czytelnika w naszym stanowisku i poglądach. Dorzucę tutaj, że czasopismo nasze nie ma wyznaczonej linii, nie steruje ku żadnej szkole, nie jest w niczym ortodoksyjne, nie pisaliśmy manifestu redakcyjnego w pierwszym numerze, nie dawaliśmy zapowiedzi ani obietnic.

Z licznych artykułów wspomnieć należy, że Tadeusz Mikulski prowadził przez cztery zeszyty swoje „spotkania wrocławskie" z Niemcewiczem, Lenartowiczem, Skarbkiem i Reymontem. Zespół artykułów nie posiada jakiegoś określonego kształtu — nazwiska zaś autorów wskazują tylko, że dotąd powiązaliśmy nasz kwartalnik z trzema środowiskami uniwersyteckimi.

W dziale twórczości literackiej zechcieli nam powierzyć swoje słowo: Helena Boguszewska, Tadeusz Borowski, Maria Dąbrowska, Mieczysław R. Frenkel, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kowalska (dwukrotnie), Bogdan Korzeniewski (tłomaczenie z Giraudoux), Stanisław Stempowski (tłómaczenia Czechowa), Wojciech Żukrowski (dwukrotnie). W numerze trzecim drukowaliśmy arkusz młodej polonistyki wrocławskiej — poezje Elżbiety Milanczówny, Jana Pierzchały, Tadeusza Nuckowskiego, fragmenty prozy Jerzego Cieślikowskiego i Romualda Cabaja.

Omówienie powyższe nie wyczerpuje zawartości rocznika: np. przeszłości Wrocławia tyczy zarys historyczny Andrzeja Jochelsona „Dwa kościoły naprzeciw siebie"; przeglądy, kroniki i recenzje dopełniają treści 40 arkuszy druku.

— Czy zechce Pan Sekretarz podzielić się z Czytelnikami mojego tygodnika informacjami o trudnościach i niepowodzeniach?

— Pismo nasze walczy z powszechnym w Polsce niedowładem recenzyjnym. Nie potrafiliśmy zgromadzić dotąd zespołu krytyków, którzy by utrzymali jakąś postawę jednolitą i charakterystyczną. Dlatego dział naszych recenzji umieszczamy na końcu.

Drugi podobny problem, to zgromadzenie wokół pisma dostatecznej liczby specjalistów handlu księgarskiego. Rzecz dziwna: zarówno nasi zwolennicy jak i Zoile powtarzają to samo, że docieramy do niewielu środowisk, nieregularnie i z trudem. Przy najbardziej obiektywnym spojrzeniu na wartość „Zeszytów Wrocławskich" — trzeba żałować, że czasopismo o takim zespole autorskim trafia tylko przypadkiem na witryny nielicznych księgarń.

— Czy zamiary Panów idą po linii odmienienia tego zaiste smutnego stanu?

— Jak dotąd pragniemy tylko zmiany na lepsze. Uważamy również, że niemoralne byłoby schlebianie gustom księgarzy i publiczności, gdybyśmy wprowadzili efektowniejszą okładkę lub obwolutę, ewentualnie materiał ilustracyjny, nawet na kliszech kreskowych. Podobnie poprowadzenie kroniki konsekwentnie, nawet w niektórych działach życia kulturalnego Wrocławia — mogłoby przyczynić naszemu pismu cechę koniunkturalności. Na razie więc staramy się niską ceną i wysoką jakością zyskać dobre imię...

— Trudno mi improwizować rady. Spodziewam się, że „Zeszyty Wrocławskie", nasz młodszy kolega, przełamią rychło te trudności. Zwłaszcza jeśli się uwzględni, że zgromadziliście Panowie u siebie z piór prozaicznych w Polsce najlepsze, że serwis artykułowy ma dwa bezkonkurencyjne walory — powagę uniwersyteckich umysłów i świeżość beletrystycznego spojrzenia. Myślę tu o wspaniale komponowanym cyklu spotkań wrocławskich prof. Mikulskiego. Nie wiedzieliśmy, że można tak skąpy materiał rzeczowy pomnożyć o wizję czasów, ludzi i miejsc, o obraz przeszłości, której nigdy nie przeczuwaliśmy, że była. A cóż mówić o refleksjach prof. Kowalskiego, zbudowanych ze zdań tak treściwych i efektownych, że każde stanąć godne za sentencję. Te cztery tomy pierwszego rocznika Panów, tu na gruzowisku wrocławskim mają wagę zaiste imponującą. Określić ją można dopiero w skali osiągnięć innych środowisk, na przykład Katowic.

Rozmowę przeprowadziła
AGATA KAJZEREK

Nowa doba
Nowiny za serbski lud

Twórczość kulturalna na Łużycach nie miała tak jak kultury innych narodów mocnych opiekunów, hojnych mecenasów i państwowej pomocy. Przeciwnie: niemieccy faszyści (a tacy zawsze istnieli: czy to w średniowieczu, czy w dziejach absolutyzmu, czy dziś) zawsze byli przeciwni każdemu, zdrowemu ruchowi na Łużycach, który był słowiański i chciał takim pozostać.

Mimo to wyrosły owoce na tym, zewsząd atakowanym drzewku. Łużyczanie dość posiadają krytycyzmu, by widzieć i wiedzieć, że wśród tych owoców dużo jest robaczywych, kwaśnych i zgniłych. W ślad za tym krytycznym stwierdzeniem jednak idzie wola poprawy i naprawy.

W artykule „A co z naszą kulturą? — O łużycki centralny urząd kulturalny w Budziszynie" (Nowa doba, nr. 5 z 2. VIII. 47) autor P. N. zajmuje się tym palącym zagadnieniem, i w końcu mówi o planach, które sprowadzić mają kulturę łużycką na lepsze tory:

„Potrzebna jest nam centralna instancja, która planuje, porządkuje, popiera, kieruje. W latach ubiegłych każdy pracował jak mu się spodobało i co uważał za potrzebne. Potem Domowina spróbowała zjednoczyć w sobie wszystkie te siły i kierować nimi. Jednak wszystkie starania... pozostały bez uznania i bez pomocy państwowej. Dziś mamy prawo do publicznego i oficjalnego załatwiania naszych spraw kulturalnych, tak samo jak kulturalne sprawy niemieckie załatwiane są przez organa urzędowe.

Domowina więc przed dłuższym czasem zażądała zezwolenia i założenia centralnego urzędu kulturalnego na całe Górne Łużyce w Budziszynie. Urząd ten byłby organem państwowym z personelem łużyckim, z subsydiami państwowymi i miałby zadanie kierowania i popierania odbudowy łużyckiego życia kulturalnego. W Budziszynie postulat Domowiny uzyskał jednomyślną aprobatę, i z poparciem wszystkich partyj politycznych wysłano go do Drezna. Jak się z gazet dowiadujemy, stronnictwa polityczne zajmują się tym żądaniem i odnoszą się do niego pozytywnie. Więc możemy dziś już powiedzieć: nie ma wątpliwości, że saski rząd również przychylnie rozpatrzy ten postulat, i że dojdzie do założenia żądanego przez nas organu oficjalnego.

Tym samym Łużyczanie otrzymali by po raz pierwszy państwowy urząd, w którym na zlecenie rządu sami rozstrzygali i kierowaliby łużyckimi sprawami kulturalnymi".

Życzyć trzeba niezmordowanym bojownikom o słowiańskie oblicze Łużyc pełnego urzeczywistnienia ich planów, które umożliwić mają bliższe jeszcze i owocniejsze współdziałanie z innymi narodami słowiańskimi.

W. A.

Tydzień Wrocławia

21. 9. — 28. 9.

Teatr:

21. 9. Dolnośląski Teatr Żydowski wystawił sztukę Johna B. Priestley'a **„On przyszedł"** w sali Państw. Teatru Dolnośląskiego.

27. 9. Premiera komedii Beaumarchais „Cyrulik Sewilski" w przekładzie Tadeusza Boya Żeleńskiego w Państwowym Teatrze Dolnośląskim. Inscenizacja i reżyseria Jerzy Walden, układ tańców Zygmunt Patkowski, orkiestra pod dyrekcją Kazimierza Bończy Tomaszewskiego. Udział wzięli: Jerzy Bukowski, Kazimierz Herba, Anna Jakowska, Zdzisław Karczewski, Jerzy Pietraszkiewicz, Mieczysław Serwiński, Marian Słojkowski, Jerzy Walden i inni.

27. 9.—1. 10. W Teatrze Popularnym gościnne występy artystów warszawskiej „Kukułki" — Xeni Grey i Stefana Sojeckiego.

Życie literackie:

22. 9. Odbył się 8 „Poniedziałek u literatów", na którym Wojciech Żukrowski odczytał jedną z groteseк z mającego się wkrótce ukazać tomu „Piórkiem flaminga" p. t. „Święta cytryna czyli tajemnice Watykanu".

25. 9. Odbył się 71 „Czwartek literacki" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Był to wieczór autorski Mieczysława R. Frenkla.

Inne wydarzenia:

26. 9. Bawił we Wrocławiu brytyjski minister Odbudowy Lewis Silkin w gronie rzeczoznawców polskich i brytyjskich.

28. 9. — 5. 10.

28. 9. Teatr Lalki i Aktora rozpoczął nowy sezon przedstawień dla dzieci widowiskiem kukiełkowym wg. W. Disney'a „Trzy świnki" oraz opowieścią Anny Świrszczyńskiej „Biedulka".

1. 10. gościnny występ Ludwika Sempolińskiego w Teatrze Popularnym.

2. 10.—4. 10. występy gościnne w Teatrze Popularnym baletowego zespołu Zizi Halamy. Partnerami Halamy są: solista holenderskiego baletu Jo Barends, F. Puchówna, i Z. Kiliński.

4—5 10. w lokalu Teatru Lalki i Aktora gościnne występy Stefci Górskiej i Karola Hanusza w rewii pt. „W imieniu prawa".

Życie literackie:

1. 10. uroczyste otwarcie wystawy „Literatura polska w autografach od w. XVII do Leopolda Staffa w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej. Wystawa obejmuje 137 pozycji ze zbiorów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Przemówienia na otwarciu wygłosili: dyr. Biblioteki Uniwersyteckiej, dr Antoni Knot, prof. Uniwersytetu we Wrocławiu, Tadeusz Mikulski twórca niezwykle cennego katalogu wystawy oraz przedstawiciel Ministerstwa Ziem Odzyskanych, mgr S. Brzozowski. Wystawa otwarta będzie przez cały październik.

2. 10. odbył się 72 „Czwartek literacki" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, poświęcony zagadnieniom radiowym. Dyrektor Rozgłośni Wrocławskiej, Juliusz Petry wygłosił odczyt p. t. „Radio a literatura", a naczelnik Wydziału Programowego, Tadeusz Banaś mówił „O potrzebach programu radiowego".

Inne wydarzenia:

28. 9. w sali kina Śląsk odbył się odczyt prezydenta m. Wrocławia, Bronisława Kupczyńskiego p. t. „Widziałem Moskwę".

1—7. 10. odbył się w kinach wrocławskich festiwal filmów radzieckich. Wyświetlano następujące filmy: „Admirał Nachimow", „Rodzina Artamonowych", „Wiosna", „Ostatnia Noc", „W imię życia", „Dwaj panowie F."

Przegląd prasy niemieckiej

NEUE ZEIT

Rahel powiedziała kiedyś, że w Niemczech musi ponad wszelkim natchnieniem, ponad wszelkim entuzjazmem, nawet ponad geniuszem i talentem stać opamiętanie, a ponad wszelką potęgą i pełnią porządek i miara. Wolfgang Drews postawił jako dziennikarz, dramaturg i żołnierz słowo to na czele swego pamiętnika. Książka ta ukazała się pod tytułem „Chrzęszczący łańcuch" nakładem Kepplera w Baden-Baden.

Niejedno z przeżyć lat hitlerowskich znów jest żywe i oto wyraźnym się staje, jak Józef Goebbels biczem swym wywijał ponad intelektualistami i artystami. Nie czynił on przy tym żadnej różnicy, najwyżej, gdy szło o artystki filmowe.

Göring, który opanował pruskie teatry państwowe, nie był pod tym względem ani odrobinę lepszy. Po premierach Teatru Państwowego musieli widzowi stojąc przed podniesionym wysoko sztandarem odśpiewać pieśń. Ponieważ nigdy nie udawało się to dostatecznie, a tylko zwolennicy i bojaźliwi podnosili ręce do niemieckiego pozdrowienia, ćwiczenia tego później zaniechano.

Innym razem pewien krytyk w Berlinie nie obsypał pochwałami śpiewaczki włoskiej Gianninni i pobudził przez to Göringa do zatelefonowania do redakcji, przy czym forma rozmowy miała urok nowości: „Gdzie siedzi ten chłystek, który miał czelność znieważyć członkinię zaprzyjaźnionego ze mną narodu! Ja sam jeżdżę po Bałkanie, ażeby jednak zdobyć dla nas te błahostki, a ta świnia ośmiela się...!!! Krytyk, który zakłócił stosunki dyplomatyczne, wyleciał z pracy do obozu koncentracyjnego.

W dalszym ciągu opisuje Drews, jak kiedyś z „majorem sztuki" Kolbem odwiedzał jako pisarz batalionu düsseldorfskich artystów. „Major wszedł po schodach, otworzył jakieś atelier, artysta ukłonił się. Major: „Zbyt ponure. Więcej radości powinien zawierać obraz pana, jeżeli mi wolno o to prosić!" Następne schody. Major: „Takich zmartwionych dziewcząt w Niemczech nie ma, niech pan maluje zdrowe postacie". U rzeźbiarza: „To führer panu z miejsca wyrzuci. W ostatnim roku odrzucił mi 20 sztuk tych krótkonogich grubych dziewcząt. Führer chce widzieć smukłe, germańskie figury!"

Na inauguracji „Reichskanzlei" siedzieli Goebbels i Benno von Arent, który uroczystość inscenizował, za swym przywódcą i prowadzili godny uwagi dialog. Goebbels (po raz nie wiadomo który): „Benno, stała się katastrofa, wódz nudzi się." Arent: „Ależ Józefie, sam to przecież uznałeś za dobre." Goebbels: „Nie szkodzi. Wódz nudzi się, to katastrofa." W punkcie kulminacyjnym katastrofy wystąpiła baletnica, zwolniona z niemieckiej opery jako „beztalencie", którą jednak zaangażowano prędko do tej najwyższej imprezy. Pupilka rozładowała napięcie i Goebbels odetchnął: „Benno, jesteśmy uratowani, wódz śmieje się."

Ze swej kariery teatralnej opowiada Drews następującą historyjkę: „Chcieliśmy grać nową sztukę Georga Kaisera, ale urzędowy rzeczoznawca dramaturgii („Reichsdramaturg") zabronił. Dlaczego? Hilpert poszedł do ministra zbadać sprawę i jeśli możliwe, złożyć protest. Ten dziwi się i wzywa rzeczoznawcę, który stwierdza: „Kaiser dosyć zarobił w czasach systemu. Na tym się skończyło, zakaz został umotywowany."

W dalszym ciągu opowiada Drews także o tym, jak artyści umieli się mścić i ratować. Stary Rohlfs, ten żartowniś, powiedział do pewnego kompozytora: „Niech się pan cieszy, że wódz nie grał w swej młodości na fortepianie." A stary Liebermann: „Nie mogę tyle zeżreć, ile bym mógł rzygać."

(„Goebbels schwingt die Peitsche")

LÜNEBURGER LANDESZEITUNG

Wesołe interesy robi hitleryzm w Bawarii. W Würzburgu istnieje czarny rynek literatury nazistowskiej, zabroniony jak wiadomo przez Radę Kontrolną. Między kupującymi znajdują się także członkowie armii okupacyjnej. Najwyższy kurs ma Hitlera „Mein Kampf", który osiągnął w tej chwili rekordową cenę 2000 marek. Kto nie chce pieniędzy, uzyskuje naturalia. „Mit XX stulecia" Alfreda Rosenberga kosztuje od 600 do 700 marek, Zöberleina „Wiara w Niemcy" nawet 800 marek. Dla całkiem naiwnych, którzy nie opanowali jeszcze zupełnie języka niemieckiego, mają wielką siłę pociągającą albumy fotograficzne „profesora" H. Hoffmana; płaci się za nie od 200 do 300 marek. Nawet „Der Stürmer" ów wstrętny elaborat antyżydowski nazizmu, sprzedawany jest na tym osobliwym, tolerowanym przez urzędy targu.

(„Schwarzer Markt für Naziliteratur")

ALEKSANDER ROGALSKI

Grzechy GŁÓWNE

Przy zachowaniu całej ostrożności, jakiej wymaga natura przedmiotu, nie wydaje się, by za daleko szło, lub zbyt silnie odbiegało od prawdy twierdzenie, że kler katolicki odegrał poważną rolę w dojściu Hitlera do władzy i to rolę pozytywną. Oczywiście, nie wiadomo bliżej, jakiego autoramentu był ten kler i w jakim stosunku liczbowym oraz jakościowym pozostawał on do ogółu niemieckiego kleru katolickiego. Faktem jest, że grupa kleru, kierująca potężną partią katolicką tzw. Centrum zadecydowała nie tylko o dojściu Hitlera do władzy, ale także o tym, by władza ta była dyktatorska. Są to rzeczy powszechnie znane.

Centrum katolickie odgrywało w ogóle wielką rolę w Republice Wejmarskiej, czego choćby dowodem fakt, że między rokiem 1920 a 1933 rządy Rzeszy kierowane były przez siedmiu kanclerzy, czy wicekanclerzy z tych kół. Centrum wpłynęło w niemałej mierze na coraz bardziej reakcyjne i nacjonalistyczne oblicze Republiki. Centrum popierało tajne zbrojenia i imperialistyczne dążenia koalicji junkiersko-przemysłowo-wojskowej. Ludzie z Centrum dostarczyli też ruchowi narodowo-socjalistycznemu pierwszych środków finansowych. Główne punkty programu partii hitlerowskiej w tym okresie, jak walka z Traktatem Wersalskim, walka przeciwko zarzutowi winy za wywołanie pierwszej wojny światowej, zbrojenia Rzeszy oraz dążenia do odwetu cieszyły się dość dużym poparciem w kołach Centrum.

Tezy i dążenia polityczne hitleryzmu sprawiły też, że Centrum, a w jego łonie duchowieństwo katolickie, przymykało oczy na światopogląd i antyklerykalizm, czy też na antykatolicką postawę tego ruchu. Wobec programu politycznego, pod którym się podpisywano, tym momentem przypisywano znaczenie drugorzędne, a poza tym przypuszczano, że z czasem uzyska się z hitleryzmem modus vivendi i wrogie przepisy znikną lub przynajmniej złagodnieją.

Te względy zadecydowały o tym, że postanowiono ułatwić Hitlerowi zdobycie władzy. Stało się to dzięki jednemu z przywódców Centrum, cieszącemu się wielkimi wpływami wśród kleru katolickiego, von Papenowi, który w roku 1933 był kanclerzem Rzeszy. Te względy też zadecydowały, że prałat Kaas reprezentujący umiarkowane koła Centrum, w marcu 1933 zwrócił się z apelem do katolików niemieckich wzywając ich do zaniechania opozycji i poparcia nowych władców Rzeszy.

Jednocześnie na pierwszym hitlerowskim Reichstagu dnia 23 marca tegoż roku partia centrowa głosuje za tzw. Ermächtigungsgesetz, przyczyniając się w ten sposób do wyposażenia rządów Hitlera we władzę dyktatorską. Kilka dni później biskupi niemieccy zebrani we Fuldzie wydali proklamację, w której oświadczyli, że członkowstwo w partii hitlerowskiej nie jest niezgodne z członkowstwem w Kościele katolickim. Tym samym usankcjonowali sami zarządzoną niebawem likwidację zarówno Centrum, jak i wszystkich innych katolickich organizacyj katolickich, społecznych, wychowawczych itp., a także przyczynili się do tego, że masy katolickie strumieniami zaczęły wpływać do NSDAP.

Zawarcie Konkordatu (20 lipca 1933) przyczyniło się w dużym stopniu do wzmocnienia więzów sympatii w kołach katolickich do hitleryzmu. Z punktu widzenia prawnego żaden Konkordat nie był tak korzystny dla Kościoła, jak ten, który podpisał Hitler. Wśród katolików odezwały się głosy radości. Entuzjaści nazwali ten rok „świętym rokiem Kościoła i narodu niemieckiego". Katolickie pismo „Rhein-Mainische-Volkszeitung" pisało w parę dni po podpisaniu Konkordatu: „Najlepsze umysły katolickie, szczególnie wśród młodzieży, muszą poświęcić się z całą gorliwością zadaniom misji historycznej narodowego socjalizmu".

Przychylne stanowisko hierarchii kościelnej do rządu hitlerowskiego uwidoczniło się i później: w czasie plebiscytu w Saarze biskupi wzywali ludność, by poparła Hitlera, episkopat zaś, zebrany we Fuldzie, w apelu swoim z dnia 13 września 1936 w ten sposób zwraca się do Hitlera: „...Pogrzebać przeszłość i przyjąć naszą współpracę w walce z przejawiającym się coraz bardziej zagrożeniem świata przez bolszewizm."

Gdy jednak okazało się, że reżimowi hitlerowskiemu idzie nie tylko o zrealizowanie tezy niemieckiej polityki zagranicznej, ale również o całkowite opanowanie swego narodu i bezwzględne zniszczenie wszystkich przeciwników ideowych, nastąpiło w kołach klerykalnych otrzeźwienie. Złudzenie rozwiało się do reszty wskutek prześladowań, zmieniających się w swym natężeniu i rytmice odpowiednio do nakazów chwili i aktualnej konstelacji politycznej, lub sytuacji wewnętrznej reżimu, lecz wyraźnie wzrastających. Okazało się, że Kościół, Centrum i Konkordat były to tylko narzędzia w ugruntowaniu pozycji politycznej i międzynarodowej reżimu hitlerowskiego.

Gruntowna zmiana postawy hierarchii kościelnej i kleru datuje się od r. 1936, kiedy to czynniki kościelne zrozumiały, że popełniły błąd idąc na ugodę mimo całkowitego przeciwieństwa nauki Kościoła z doktryną narodowo-socjalistyczną i zaniechawszy swego pierwotnego, nieprzyjaznego wobec tego ruchu stanowiska ideowego.

Nową fazę stosunków Kościoła do reżimu zainicjowała Encyklika papieża Piusa XI „Mit brennender Sorge" z dnia 14 marca 1937. W jej duchu walkę z hitleryzmem prowadzili też tacy przywódcy Kościoła w Niemczech, jak kardynał Faulhaber z Monachium, biskup von Preysing z Berlina i biskup von Galen z Monastyru. Duże znaczenie posiadały też następnie ogłoszone zbiorowe listy pasterskie biskupów z Fuldy, zwłaszcza list ze 6 lipca 1941.

Walkę hitleryzmu z Kościołem w Niemczech oraz siłę oporu tego ostatniego stara się zobrazować wychodząca nakładem Herdera we Fryburgu seria wydawnictw pt. „Das Christliche Deutschland 1933—1945", zawierających głównie teksty pism i not, jakie krążyły między episkopatem niemieckim a władzami hitlerowskimi. Obfitszy jednak i konkretniejszy materiał zawiera książka monachijskiego kanonika Johanna Neuhäuslera pt. „Kreuz und Hackenkreuz", podająca treść szeregu listów protestacyjnych, nieraz bardzo odważnych, skierowanych przez episkopat do rządu Rzeszy i jego ministerstw. Ale mimo poszczególnych momentów heroicznych walce władz kościelnych w Niemczech z hitleryzmem daleko do tak ostrego profilu i takiej dynamiki, jaką odznaczał się opór katolickiego duchowieństwa np. w Polsce, czy nawet we Francji.

Dużo niezmiernie charakterystycznego światła wnosi do tej sprawy imponujące dzieło dokumentarne ks. Bedricha Hoffmanna, proboszcza Horney Beczwy na Morawach pt. „A kdo vas zabije", wydane w b. roku. Podaje ono np. że duchownych polskich w obozie koncentracyjnym w Dachau było ogółem 1724, niemieckich zaś 448. Istotne są jednak dopiero dalsze zestawienia. Otóż duchownych Polaków zmarło w Dachau 447, Niemców zaś 88, do transportu śmierci skierowano Polaków 310, Niemców 7, zwolniono z obozu Polaków 59, Niemców zaś 204. Z zestawień tych wynika, że jeżeli na jednego Niemca w Dachau przypadało niespełna czterech Polaków, to stosunek ofiar śmiertelnych wyraża się cyframi 1:8,5.

Ale nie tylko te fakty są znamienne. Ideowa strona walki kleru niemieckiego z hitleryzmem nawet w najbardziej dramatycznym okresie, nie była, jak się okazuje, wolna od skaz. Uwidacznia się to np. w kazaniach wspomnianego już biskupa von Galena, uważanego w Niemczech za sztandarowego przeciwnika hitleryzmu. W zbiorze jego kazań, wydanych obecnie przez Herdera, pt. „Bischof Graf von Galen spricht" mieści się jedno, wygłoszone dnia 13 lipca 1941 w kościele Lamberta w Monastyrze, które zawiera taki passus: „Módlmy się za wszystkich, którzy są w potrzebie, szczególnie za naszych kapłanów, za nasze miasto Monastyr, za nasz niemiecki naród i ojczyznę i... jej Führera". Słusznie zapytuje się w związku z tym „Der Tagesspiegel": „Czy było to jeszcze jedno Ermächtigungsgesetz?" Bezpośrednio po tej koncesji padają słowa, w których jeszcze bardziej uderza połączenie powagi i protestu z głębokimi ukłonami w stronę narodowego socjalizmu: „Jeśli nie zostanie wskrzeszone panowanie sprawiedliwości, wówczas nasz naród niemiecki i ojczyzna, mimo bohaterstwa naszych żołnierzy i ich *sławnych zwycięstw* (Ruhmreiche Siege) upadnie z powodu wewnętrznego zepsucia". Przebija z tych tonów wyraźnie to nacjonalistyczne uczucie, które wartościowało zwycięstwa całkowicie bez związku z ich zdecydowanie złym i perfidnym fundamentem i które stawiało między narodem a Führerem znak równania.

Z silnego więc obciążenia nacjonalistycznego nie mógł się wyzwolić bez reszty nawet taki przywódca Kościoła w Niemczech, jak von Galen. Daje to łatwe wyobrażenie o wartości i sile walki z hitleryzmem mniej zdecydowanych jego przeciwników. Pod tym względem niezwykle instruktywna jest notatka pomieszczona pod datą 1 listopada 1941 w głośnych pamiętnikach b. ambasadora Ulricha von Hassela pt. „Vom andern Deutschland", wydanych w Szwajcarii w r. 1946: „...Niestety doniósł mi pater Noppel (b. rektor Collegium germanicum w Rzymie), że niemiecki episkopat w żadnym wypadku nie jest jednolity. Większość pod starym kardynałem biskupem Bertramem we Wrocławiu przeciwna jest otwartej walce, przeciwna użyciu metod „politycznych" zamiast religijnych tak, iż przedstawiciele ostrego kierunku, Galen i Preysing są w mniejszości. Tacy ludzie jak Bertram — dodaje z goryczą autor — nic nie zrobią wobec takich ludzi jak Hitler i Himmler (str. 236—237)".

Dzisiaj wprawdzie co do ostatniego zdania notatki Hassela z uwagi na specyficzną sytuację duchową narodu niemieckiego zwłaszcza w okresie Trzeciej Rzeszy, bylibyśmy nieco odmiennego mniemania. Jesteśmy bowiem świadomi niemałego znaczenia również czysto religijnych metod oporu antyhitlerowskiego. Niemniej jednak odsłonił nam on jedną niezwykle doniosłą w skutkach rzecz: niejednolitość postawy episkopatu niemieckiego wobec hitleryzmu, stanowiącą główną przyczynę niezbyt imponujących rozmiarów jego walki z reżimem. Ta zaś niejednolitość z kolei pochodziła z jednego źródła: z uczuć nacjonalistycznych.

Resumując powyższe wywody można stwierdzić:

1. Kler niemiecki zgadzał się na zasadnicze punkty politycznego programu hitleryzmu. Z tej przyczyny nie dostrzegł on wczas groźnego dla siebie niebezpieczeństwa. Na moment ten zdaje się też wskazywać odpowiedź arcybiskupa Fryburga, Groebera, zawarta w jego głośnym liście pasterskim z roku 1945, na trzecie z siedmiu oskarżeń formułowanych pod adresem narodu niemieckiego, mianowicie na zarzut, że biskupi byli obojętni wobec nazizmu, odpowiedział on: „Zajęli wpierw stanowisko *obserwujące i wyczekujące*, podobnie jak w innych krajach(?). Zaczęli działać, kiedy wydane rozkazy były jasne."

Wydaje się, że nawet zewnętrznym obserwatorom wypadków niemieckich nie trudno się było zorientować co do prawdziwego oblicza hitleryzmu i w rozmiarach niebezpieczeństwa, kryjącego się w nim dla Kościoła i świata — nawet w początkach tego ruchu.

2. W klerze katolickim w Niemczech tkwił silny nacjonalizm oparty na długiej tradycji. Deifikacja państwa sformułowana we filozoficznych tezach Hegla, tak znamienna dla postawy całego społeczeństwa niemieckiego i stanowiąca jedną z uderzających cech jego życia społeczno-politycznego, zapuściła również głębokie korzenie w klerze katolickim.

Mimo ujawnionej w poważniejszej fazie rozwoju narodowego socjalizmu wrogości wobec niego i nawet pozytywnych przemian wewnętrznych oraz duchowego odrodzenia się katolicyzmu niemieckiego, dwa te powyżej zaznaczone momenty, posiadają zbyt zasadniczy charakter, by miały one pod wpływem najbardziej nawet zaciętej walki z hitleryzmem całkowicie zaniknąć. Ich obecność w teraźniejszym okresie tłumaczyć może będzie niejeden przejaw zachowania się katolicyzmu i kleru niemieckiego wobec pewnych aktualnych zagadnień politycznych.

Aleksander Rogalski.

MIECZYSŁAW R. FRENKEL

Z essayów

Bezkarne pastwienie się nad słabymi jest najgorszą szkołą charakterów. Żywy „punching bal", odbierający ciosy i nie reagujący czynnie na zniewagi, automatyzuje ataki sadyzmu, wprawia sadystę na widok sparaliżowanej strachem ofiary w stan nałogowego upajania się swoją ekspansją. Z brakiem oporu potęguje się w atakującym poczucie niepoprawności ofiary, która widocznie za mało jeszcze ucierpiała, cios zatem był za słaby, albo źle wymierzony. Sadysta uplastycznia swe ciosy, parceluje nimi powierzchnię oporu i osiąga w sobie stan orgjazmu pierwotnego człowieka, dzikusa, który dla celów sakralnych wydzierał żywe serce z trzewi ofiary. Bezkarność podnieca go i skłania do powtarzania eksperymentu na innych obiektach dla zróżniczkowania doznania. Kontroluje przy tym wytrzymałość obiektów na stopiowane rodzaje męki i miarą ich uciekającego życia odmierza tempo swoich przeżyć. Ta dwukolejność przeżyć wzmacnia w nim ambiwalencję sympatii i antypatii do ofiary, którą po każdym zadanym ciosie wypuszcza niejako z rąk dla osiągnięcia wyższego szczebla rozkoszy. Wrażliwość zwyrodnialca tępieje jak ostrze piły czy siekiery i potrzeba jej coraz bardziej rafinowanych podniet, aby ją zadowolić. Tępa wrażliwość wysila się na nowe kombinacje mąk. Społeczeństwo trzymane w szachu przez dobrze zorganizowane bandy sadystów tępieje jak one moralnie i nie produkuje żadnych odtrutek moralnych na wydzielaną przez bandy truciznę. Imponuje im siła fizyczna zorganizowanej mafii, a krzyk ofiar nie dochodzi do nich z chwilą, gdy ze strachu solidaryzują się z sadystyczną elitą. Upodabnianie się do takiego typu elitarnego potrafi zdegenerować szerokie warstwy społeczeństwa, mord staje się gestem politycznym i tłumaczy się swą „celowością w służbie dla ogółu". Sadyzm ze stanu endemicznego przechodzi w epidemię i dzieci dotkniętego nim w szale masowym jednego pokolenia powtórzą czyny swych ojców gdy dorosną. Spłodził je przecie szaleniec, który w czasie aktu nie ochłonął z ekstazy zabijania.

Znęcając się nad bezbronnym, bandyta zna jedynie wymiar swych sił i nie liczy się z warunkami somatycznymi ofiary. Gdyby znał bezsilność swej ofiary, inaczej dawkowałby swą energię i nie wprowadzałby sam siebie, już dla samej ekonomii sił i jej wzruszeniowego komponentu w stany otępienia. Zrozumiałby znaczenie myśli Wilde'a, że jedni mordują mieczem a inni całusem i mordowałby z umiarem i z „przyjemnością". Ale Niemców w ich burgach, gdzie ich latami szkolono, wprawiano w rzemiosło pod hasłem błyskawicznego załatwiania się z przeciwnikami, nie produkowano amatorów, lecz zawodowych morderców, nie byli to bravi włoscy z epoki renesansu, lecz ordynarni rzeźnicy, ćwiartujący w jatkach ludzkie mięso.

Jednostka ludzka ma swoją nośność jak most i wytrzymuje o wiele więcej niż pozornie w stanie jest wytrzymać. Jej siły duchowe stanowią jej rusztowanie i są niewysychającym źródłem jej regeneracji. Szkielet sił duchowych jest rzutem w przyszłość i najkardynalniejszym współczynnikiem nośności osobnika, działa on w konstrukcji typu ludzkiego jak ukryta sprężyna. Człowiek położony przez los na obie łopatki, zdruzgotany, ze spalonymi przęsłami, bez drogi wyjścia na drugi brzeg, zachowuje swą nośność w tym rzucie w przyszłość, w tej niewidomej sprężynie, która jest zawiązkiem jego odbudowy. Ocalone rusztowanie psychiczne jest alfą i omegą dalszego rozwoju.

Nietzsche nie przewidział, że „czandala" ustandaryzuje się według jego modelu z Zarathustry, tworząc produkt seryjny drobnomieszczanina-kanalii o polewie nadczłowieka.

Nienawidzący zwykł przypisywać wszystkie swoje wady i słabe strony przeciwnikowi, jest to jego alter ego w negatywie; co za doskonały pretekst do unicestwiania go. Gdy wszystko co słabe, nędzne, kose, złożone zostanie do grobu, nienawistnik będzie zdrów i cały, bo ze znienawidzonym zejdzie ze świata karykaturalne zestawienie jego własnych braków.

Obywatele Werony mówili o Dantem „eccovi l'oum ch'e stato all' Inferno", oto człowiek, który był w piekle. O ileż słuszniej u nas tak powiedzieć można. Byliśmy bez przewodnika w kilku najgłębszych kręgach piekielnych i wynieśliśmy stamtąd szlam, którego nie zeskrobiemy ze siebie do śmierci. Upodliciele i upodleni związali się ze sobą wspomnieniami ześlizgiwania się w takie odmęty moralnego zepsucia, że powinno im tchu zabraknąć na świeżem powietrzu, a wstyd powinien im zamknąć usta na wieki. Miast tego najbezwstydniej w świecie jedni i drudzy legitymując się prawem do życia, ci co tylu wyprawiali w zaświaty, mówią o sprawiedliwości i o przestrzeni życiowej po spaleniu na popiół milionów ludzi, aby nie zajmowali milimetra ziemi. „Non ragionam di lor..."

Gdyby Niemcy wycięli byli w pień wszystkich Duńczyków w czasie ostatniej wojny, zbrodnia okryłaby ich zhańbieniem na wieki, wymordowanie czterech milionów ludzi, jeżeli nie więcej w Polsce, nie wywołało takiego morsus conscientiae, jakby między trupem w Polsce a trupem w Danii zachodziła jakaś daleko idąca różnica anatomiczna. Przy udzielaniu wsparcia wysokość kwoty nie zależy od majątku wspierającego, lecz od sytuacji towarzyskiej wspieranego, żebrzący Negr nie zasługuje na taką kwotę współczucia jak żebrzący Anglik. To jakby samo przez się zrozumiałe. Trup w Polsce ma inną wagę. Cóż to i było za życie, którego Niemcy pozbawili. To jest prawie motyw łagodzący. Ulżyli mu.

Maniera literatów szukania coraz głębszych pokładów psychicznych, bo górne pokłady już się wyjałowiły, doprowadza ich często do takiego stanu rzekomego przewrażliwienia, że słyszą jak im własny zarost rośnie.

Człowiek czyniący z Boga narzędzie swych zbrodni, ubóstwia w nim tanio nabytego wspólnika swych łajdactw, bo nie dzieli się z nim łupem, zwala na niego całą odpowiedzialność. Za zasłoną dymu z kadzideł zbrodniarz rozpruwa brzuchy i rozpłata łby, jakby odprawiał miłe swemu bóstwu nabożeństwo. Zwyrodnialec ściągnie Boga z niedostępnego tabernaculum w przepaść wynaturzonych instynktów i zbezcześci absolut obwieszając go wotami ze swych trofeów. Dlatego wyobrażenie Boga tak często zmieniało oblicze, ze zbrodniarzem szkaradniało jego numen.

Niemcy w czasie wojny pisali o utracie niezależności przez Polskę jak mówią gwałciciele o utracie dziewictwa przez ofiary ich gwałtu: panna źle się prowadziła. Lekkomyślność upadłej dała asumpt do jej skrzywdzenia. Lekkie obyczaje Polski sprowokowały „etyczne" Niemcy do zadośćuczynienia swojej chuci.

W prosektorium historii uczyły się „mocne" narody anatomii na trupach masakrowanych przez nie narodów i ani się spostrzegły jak drobne zakażenie krwi przyspieszało ich własny kres. Pierwszym jego objawem był zanik zmysłu odróżniania co dobre a co złe.

Jeżeli Niemcy obecnie twierdzą, że nie mieli pojęcia co się wyczyniało w obozach koncentracyjnych i jakie były metody rządzenia hitlerowców, jeżeli udają współoszukanych i wystrychniętych na dudka, to kłamią. Każdy odbiorca przesyłki wartościowej od syna czy męża, przebywającego na froncie, czy w krajach okupowanych, zdawał sobie sprawę co ona moralnie zawiera i, prosząc o dalsze przesyłki, brał tym samym czynny udział w nekrofilii swych ziomków. Gdy wiedzionych mirażem zwycięstw spotkała klęska, odczyniony został czar i nagle poczuli się sami ofiarami reżimu, bo zgłosił niewypłacalność. Wtedy dziwną previsio ex post znaleźli się omal że nie na ławie oskarżonych, lecz w obozie koncentracyjnym wspólnie z ofiarami wojny. Anglosasi uwierzyli im na słowo.

Mogunckie dziewczęta i sympatycy rewolucji, jak to opisuje Goethe w swojej „Campagne in Frankreich 1792" (Belagerung von Maynz) opuścili z załogą francuską miasto i tłum zaatakował budowniczego, Niemca, który pierwszy wraz z przyjściem Francuzów plądrował dziekanat kapituły. Goethe bronił go przed rozsierdzonem tłumem w myśl zasady „Chi scampa d'un punto, scampa di mille" i tłumaczył Anglikowi Goremu, że woli popełnić niesprawiedliwość niż znosić nieporządek. Co za proste wyjaśnienie pedanterii, która uodporniała Niemców przeciw rewolucji. Woleli jak Goethe niesprawiedliwość niż nieporządek i każda choćby najniemoralniejsza siła porządkująca mogła liczyć na ich czynne poparcie. Niemcy po buntach chłopskich, które sam Luter przyczyniwszy się grubo do ich rozżagwienia kazał ugasić w krwi partyzantów i po okrutnym upuście krwi, jakim była wojna trzydziestoletnia, zasnęły snem umęczonych i przespały angielski rozkwit mieszczaństwa kosztem feudałów, epokę francuskiego oświecenia, rewolucję 1789 r. i początki rozrostu kapitalizmu. Jak słabym stosunkowo echem odbiła się rewolucja francuska w potężnym dziele Goethego, jak przebrzmiała w dysonansach u liberalizującego z początku Schillera, jak pominąwszy nieliczne manifestacje sympatii w Nadrenii i pronapoleońskie nastroje emigrantów Jungdeutschlandu w latach słabych podźwignięć prorewolucyjnych 1830—1848 r. nie pozostawiła trwałego śladu w psychice niemieckiej, którą gruntownie przeorały nacjonalistyczne zrywy wolnościowe przeciw inwazji Napoleona i myśl zjednoczenia narodowego Niemiec w Rzeszy wielkoniemieckiej frankfurckiego Reichstagu. Niemcy żyli w sercu Europy w sensie geograficznym, w sensie duchowym wegetowali na peryferii jej przemian, wyrzucają poza nawias własnego życia te żywioły, które czuły po europejsku i którym duszno było w ciasnym feudalno-drobnomieszczańskim świecie utrwalonego na wieki, odziedziczonego po przodkach porządku rzeczy. Małe Niemcy Bismarcka, grupujące się dookoła militarnego jądra pruskiego, nie miały tendencji zrewolucjonizowania zaśniedziałego drobnomieszczanina, podporę kapitalistycznego gromadzenia dóbr i politycznego rozproszkowania. Etniczne różnice plemienne zastygły w drobnoustrojach duodezów, były rękojmią konserwowania indywidualizmów w ramach wspólnoty narodowej „Deutschland, Deutschland über Alles". Dzięki warunkom geopolitycznym i bogactwom naturalnym przemysł rósł jak na drożdżach, a obywatel politycznie surowy z trudem nadążał za wspaniałym rozwojem przemysłu, nie rezygnując ze szlafmycy, mimo że mu dzień upływał w kitlu roboczym w olbrzymich halach fabrycznych kapitanów industrii. Zamiłowanie porządku odegrało wielką rolę w rozbudowie przemysłu i robotnik niemiecki podobnie jak niemiecki intelektualista wznosił tę budowlę dzięki wrodzonej pedanterii, ukoronowanej w ścisłości naukowej niemieckich badaczy. Znoszenie niesprawiedliwości kastowej i klasowej wynikało z poczucia unormowanego przez porządek niezmiennego stanu rzeczy. Było się czego uczepić. Masywny a ciężki Niemiec, tworzący podstawę niemieckiej piramidy społecznej, dumny był, że potrafi podołać nałożonemu na swoje barki ciężarowi. Dumny był niemniej z umiejętności rozładowania ciężaru i symetrycznego jego podziału na każdego z osobna. Czuł się jakimś mitycznym Atlasem, którego imperializm niemiecki nęcił mirażem włożenia globu ziemskiego na niemieckie barki po zdjęciu go z barków anglosaskich. Prusacyzm wykoszlawił do reszty niemieckie poczucie sprawiedliwości, ująwszy porządek w paragrafy regulaminu ćwiczeń wojskowych. Rewolucja 1918 roku była na tle rozwoju historycznego Niemiec nieporozumieniem. Zagranica widziała w niemieckim proletariacie i w jego emanacjach polityczno-partyjnych ducha protestu przeciw porządkowi i manifestację sprawiedliwości, wnioskując ze strajków o jego lewicowości, tymczasem gorączkowała tylko góra partyjna, same zaś masy pragnęły normy, stabilizacji, porządku, co z niebywałem zrozumieniem rzeczy podchwycił Noske, Scheidemann i ich poplecznicy. Większość zorganizowanych robotników odżegnywała się od gwałtownego przewrotu, przenosząc unormowany porządek nad ideologiczną sprawiedliwość. Nadczłowiek Nietzschego był tęsknotą niemieckiego bourgeois, do których zaliczyć należało skłonnościowo część świata pracy, za silną rękę, dyktującą twarde prawo niemieckiego człowieka spienionym rumakom przez niewypuszczanie ze ściśniętej pięści cugli, aby konie nie poniosły. Najniesprawiedliwszy bat uświęcał się przez uzyskaną wyborną musztrę ćwiczonych i wyprostowany grzbiet z podniesioną dumnie głową nie był wytworem obywatelskiego samopoczucia, lecz przez zdyscyplinowaną nieprawiedliwość ewokowaną przybraną postawą, na którą w ciągu wieków złożyli się serenissimi na tronach karłowatych księstewek, pruski podoficer uzbrojony w kij i rózga nauczyciela szkoły powszechnej jako fetysze ducha niemieckiego, które połknąwszy miliony kijów wyprostowały sztucznie grzbiet narodu, wyrównywujący się na — nadczłowieka.

Ukończone wojny wywołują w niektórych narodach niebezpieczną nerwicę zaopatrzeniową, tzw. przez Niemców Rentenneurose.

Mieczysław R. Frenkel.

Poeci Ziem Zachodnich

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Ballada o ziarnku piasku

Schną łodzie pachnące tranem — łupiny olbrzymich muszel.
A nad wydmami rząd sosen cieniem je własnym nawleka.
Podłużny płomień wybrzeża chlusty na piasku osusza,
wiatr tylko sól w skrzydłach roznosi i płaty żółtego ciepła.

Niebo przykrywa ślad czyjś. Jak w dłoni pod jasnym spojrzeniem
leży ziarenko piasku — takie podobne do siostrzyc.
Woda błękitną oskrzelą brzeg przeoruje w skupieniu,
drobne kły piany o niebo spłowiałe ostrząc.

Tu kiedyś, obok za redą, wiatry zdychały w tarninie
kłującej najniższe gwiazdki. Oko przymykał księżyc.
Świeciły dniem przesiąknięte, wąziutkie ręce dziewczyny
zwinięte na karku chłopca w żywy, srebrzysty węzeł.

Nisko nawisał poranek — strzępiona wrzaskiem mew flaga!
Okręty leżące w wodzie świt nagle dymem podeszły.
Odpłynął Bartek z Oliwy, unosząc spod zorzy całus
i tęgą porcję żwiru w dziurawej, miękkiej podeszwie.

Gubi po drodze wspomnienie, tłucze się oddech wśród żeber,
przewiewa ponad nim błękit, cofa się pod nim Bałtyk.
Ubywa w buciorach piasku — szkwał go z pokładu ociera,
aż jedno, tak jak wspomnienie, zostało w podeszwie ziarnko.

W portach — wymiana. Gwiazdy wysprzedasz w pomroce...
Twarz nocy zgięta nad knajpą wciąż pałaszuje reflektor.
Wyfasowali nowe buciory, zdarte sprzedali chłopcom
i już ma Joe, tramp Dover'u, bartkowe buty za bezcen.

Chyli ku ustom wichura pełne blasku kielichy latarń.
Joe wśród świateł portowych jednego się nie doliczył.
Odpłynęli polscy matrosi, poranek ich mgłami zatarł,
więc spił się z żalu włóczęga i zległ wśród bagna ulicy.

Ktoś go tam rozzuł. Tylko liść klonu, jak gwiazda przylgnął do pięty.
Bełkotał za szyją mola mielony śrubami farwater.
A buty bartkowe kupił w bramie za kilka centów
jadący właśnie do kraju, nasz żołnierz, rybak repatriant.

I teraz obok, za redą, tarza się słońce w obłokach,
jak złoty kocur przemyka w koronach sosen przymorskich.
Wiedzą gałązki skarlałe, muszelki wklęsłe głęboko,
że najpiękniejszy z brzegów Bałtyku, jest brzeg okwitnięty Polską.

Wrócili rybak i Bartek. Ramiona tysiącem mew w górę wzeszły.
Stary sieć ucałował w miejscu gdzie słońce utkwiło.
W tułaczych butach dover'owskich pękła przetarta podeszwa,
wypadło ostatnie ziareňko — do własnych brzegów wróciło...

TADEUSZ ZELENAY

Wieczór

Na wietrze pociętym w przepływy
dojeżdżających do granicy wieczoru pociągów
zatokami położyły się ptaki.

Wśród chmur skłębionych nad bryłą
opuszczonej na fajrant fabryki
przelatują pomarańczowe blaski.

Rzeka szemrze przelewem śluzy,
lecz łagodniejąc ku brzegom
odbija złoty cień konia,
idącego do wodopoju
rozumnie, samotnie, posłusznie.

Czy słyszysz szloch jego podków?
gdy schodzi z drogi ku rzece,
po pochyłości na której
liliowieją koniczyny i osty.

WŁADYSŁAWA SZKARADKÓWNA

Ruiny

Usnęły tramwaje w remizach,
latarnie głowy oparły o mur,
wyżej
księżyc ostry jak demeszka
tnie zaciekle białe grzywy chmur.

Domom, w których nikt nie mieszka,
przyśniły się dziewczęce dłonie,
przyśniły się dziewczęce usta,
zawieszone jak obraz na ścianie pustki.

Na jakimś balkonie
rozłamanym na pół,
zakwitła nasturcja płowo
głową
w dół.

Taką godziną
poczynają się modlić ruiny:
o wapno, o cegłę, o murarzy,
o ramy pełne szyb
nowych.
W skrzyp
wiatru, co za węgłem się wałęsa,
dygoczą rozdarte przęsła,
płaczą okna bez twarzy.

Gotyk i kiełbasa



Inicjatywa prywatna nie ma szacunku dla gotyku a ojców miasta jakoś to nie razi. Jest źle.

Fot. J. Bułhak

Młodzi poeci Wrocławia

JAN PIERZCHAŁA

Wyznania

III.

Bywało pchałem z węglem kary,
chodziłem z gwiazdą po kolędzie;
a byłem smutny wciąż i mały,
bo mnie rodziła matka w biedzie.

Bywało wilga padła w sadzie,
gołąb się zbłąkał nad kopalnią;
musiałem ptakom jakoś radzić,
choć czasem było źle i późno.

Bywało szedł zza węgła Paweł.
Paweł już dużo umiał rzeczy.
Teraz coś w ręce miał i nagle
rzekł: widzisz? z tego rosną dzieci.

W miedzuchu potem mówił długo,
niezrozumiale i za blisko.
Słowem mię każdym kłuł i szturchał
i tak mi wczesne wziął dzieciństwo.

To było jakoś po wypłacie,
bo matka dała mi pięć groszy,
alem ich nie tknął, ręcem zacisł
i spać nie mogłem długo w nocy.

V.

Modlitwa
Dałeś mi Boże żywot kruchy,
i dałeś zamyślenie trudne.
Kazałeś w smutku stroić lutnie
na śpiew weselny i drobniutki.

Kazałeś wiatrom mówić sprzeciw,
i ległeś na spękanej ziemi.
A tu się zeźlił czas i zwrześnił,
i otumanił nas i przebił.

I dałeś nam od ptaków więcej;
gdy jak gałęzią chwiałeś domem,
urosły hymny, kurz i świece,
łez ocalenie wstało strome.
— — — — — —
Gdy umrzeć dasz to nie na skale,
ale mię połóż w błyskawice,
i takiej mowy w usta nalej,
abym do Ciebie nie szedł z niczym.

LESZEK GOLIŃSKI

Wierzba nad Chopinem

Wierzbo, szumiąca śpiewnie nad głową Chopina,
Przypłyń do nas na powrót, wyrośnij w Alejach,
Niech za dotknięciem różdżki, słowem czarodzieja
Wrócą dni, które przeszły, czas, którego nie ma...

Już armat nie potrzeba i burza nie wróci,
Tylko kwiatom zakwitnąć na milczących strunach
Wierzbo, złamana czołgiem, zgorzała w piorunach,
Czemu liść Twój już opadł i głos Twój już ucichł?

Niech po latach bezsennych, po królestwie ciszy
Białe dłonie na niemej znowu klawiaturze,
Niech śpiewają obłoki i modlą się róże —
Boże! Wskrześ zmarłe serca, ukrzydlaj klawisze!

Noce dzwonią muzyczne, gwiazdy drżą kolędą,
Na wrakach czarnych czołgów mech rośnie zielony,
Nachyl ku swoim ustom ciche nieboskłony
I śpiewaj, wierzbo, lata, które znowu będą...

KAZIMIERZ WINKLER-AUGUSTOWSKI

Kołyska z popiołu

Gdzie dom był dawniej ciepły,
matka pod abażurem,
sióstr małych śpiewne kołyski,
lulajże,
lulaj,
tam wiatr wysoki śpiewa
na mokrych pniach kominów
jak na cieniutkich fletach
nut kilka o tym synu
zgubionym i dalekim,
raz tylko pisał stamtąd,
nie wiem czy żyje, nie wiem,
nie wiem czy jeszcze mam go.

Ten wiatr. W tym wietrze idę,
chwieją się słupy ścian,
jak teatralne liście
szeleszczą rude blachy,
jesień na Starym Mieście,
nikt nie wychodzi z bram,
w ulicach wąskich i ślepych
deszcz zmywa ślady żołnierzy.

To niebo oprawione w cegły
miało wtedy ramkę z firanek,
tiul niebieskawy i lekki
gładził ostre linie barykad,
gdy blade głowy ciężkorannych
brały w ręce młode panny miejskie.

Gdzie dom był dawniej ciepły,
gdzie matka pod abażurem
i siostry w śpiewnych kolebkach
lulaj, Jezu, w popiołach lulaj.

NIE prędko dnia tego Kalenus oczy otworzył, więc zaraz poczuł, że dzień jest nie do zniesienia gorący. Leżał na niskim łóżku, owinięty w jedwabie hiszpańskie. Zdawało się, jak gdyby od tego gorąca rozdrgały się fale w płytach szyldkretowych, którymi były wykładane boki łóżka, a na szerokich jego nogach kość słoniowa jakby zmętniała i onyks był jeszcze bardziej przydymiony. Leciuchny koc nakrywał stopy Kalenusa; ręce kobiet lidyjskich zrobiły go w Sardes na specjalne zamówienie.

Kalenus nie lubił upałów, bo dbał bardzo o swoją cerę. Klasnął w ręce i kazał chłopcu otworzyć kurki z chłodną wodą, ażeby zaczęła krążyć kanalikami, wyżłobionymi w posadzce, orzeźwiając powietrze w komnatach. Drugi chłopiec wbiegł z dwiema kadzielnicami i napełnił sypialnię zapachami arabskimi.

Ledwie niewolnicy wymasowali Kalenusa i ogolili po kąpieli, gdy przybiegła stara niańka Pulcherii z płaczem, że ulubiona małpka jej pani, Cyrusek, kaszle od rana. Pulcheria nie chce wstać ani jeść, tylko wypytuje służbę, kto zaziębił Cyruska. Nawet jej, choć nic nie zawiniła, wbiła w ramię najdłuższą szpilkę do włosów. Porozbija najdroższe wazony na głowach służby, jeżeli Cyruskowi nie będzie lepiej.

Kalenus westchnął. Nie miał ochoty iść na taki upadł do Pulcherii. Ale trzeba było coś uczynić. Stary przyjaciel Kalena przekazał mu w testamencie opiekę nad jedynaczką i sporą sumę pieniędzy. Stanowczo Cyrusek był tak delikatny, jak Kalenus, ale cóż zrobić, gdy jednemu było za gorąco, a drugiemu za zimno! Przyrzekał później się tym zająć, ale niańka rzuciła mu się do kolan. Na jej prośby musiał zaraz udać się nad Tyber, gdzie były sklepy z drogocennymi ptakami, psami i małpkami. Tam kupił amulet dla Cyruska i wysłał z nim oszalałą niańkę do Pulcherii. Droga dziecina prosiła także, żeby napisał dla niej wiersz pocieszający z powodu choroby Cyruska. I na to musiał się zgodzić. Pocieszenie naszpikował porównaniami i przykładami klęsk, które spadły na wielkich bohaterów, ale ich nie złamały. Na takich to zajęciach, godnych dobrze wychowanego Rzymianina i wytwornego poety, strawił całe przedpołudnie.

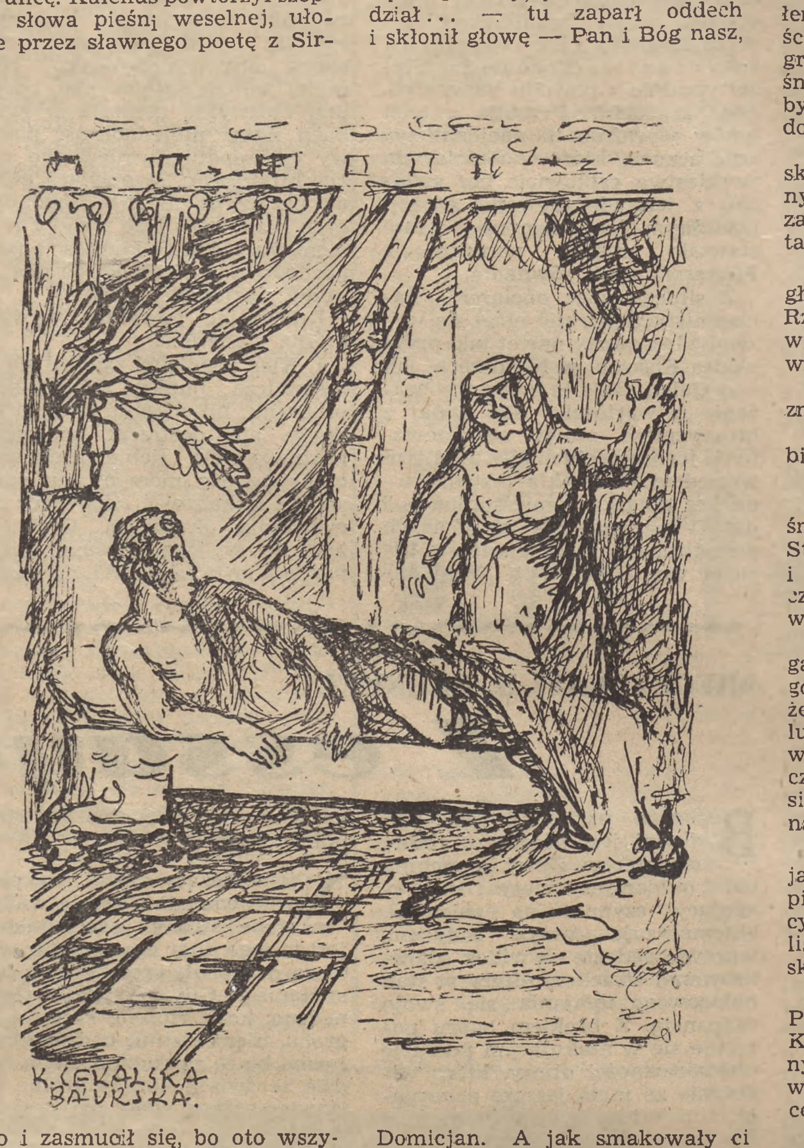
Po obiedzie zabierał się do pisania odpowiedzi na satyryczny wiersz, który przeciw niemu puścił jakiś zuchwały Gall, od niedawna przybyły do Rzymu. Zuchwalec miał jednak nazwisko nie nadające się do miary wierszowej i Kalenus trapił się, jak dobrać się do niego, mimo że Muzy zdawały się zapewniać cudzoziemcowi bezkarność. Już mu zaświtał w myśli jakiś szczęśliwy zwrot, kiedy przyniesiono z portu ostyjskiego wiadomość, że zatonął okręt, który wiózł posąg, zakupiony dla niego przez przyjaciela.

— Dziś jest złe położenie gwiazd! — powiedział wyzwoleniec o zmarszczonej, zatroskanej twarzy. Nazywano go astrologiem, bo miał co dzień badać układ gwiazd i doradzać Kalenusowi, jak chronić się od zawiści bogów. Kalenus natychmiast zwrócił się twarzą ku wschodowi, naznaczył prawą nogą na posadzce figurę ochronną i powtórzył za astrologiem niezrozumiałe zaklęcie. Potem wezwał sekretarza Eutychesa. Eutyches przepisywał od rana do nocy poezje swego pana, znał wszystkie jego skróty pisarskie i źródła, z których czerpał. Robił też dla niego wypisy z encyklopedii i poprawiał egzemplarze, które Kalenus dostawał od swego księgarza, by je rozesłać przyjaciołom. Bo przepisywacze piszą pod dyktatem, jak im się wydaje, że słyszą. A co taki może wiedzieć o mitologii i rzadkich nazwiskach greckich, których pełne były wiersze Kalenusa! Eutyches wziął rękopis z pocieszeniem dla Pulcherii i obiecał do wieczora przepisać złotymi literami na pergaminie barwionym na brzegach prawdziwą purpurą tyryjską. Astrolog miał wymalować na rogach poematu kilka znaków zbawiennych dla Cyruska. Kalenus już i tak był niepocieszony, gdy na dobitkę przypomniał sobie, że czeka go jeszcze wizyta u Pryska. Kilka lat temu miewał zatrute wieczory, gdy się dowiedział, że odbywała się uczta, na którą zaproszono innych poetów, a jego pominięto. Ale teraz, kiedy dzień za dniem płynął na odwiedzinach, ucztach, plotkach, recytacjach utworów, teatrach i cyrkach, Kalenus niechętnie bywał na wieczorach literackich, a wybierał takie przyjęcia u dostojników państwowych, gdzie zbierali się sami ludzie niepodejrzani cesarzowi Domicjanowi. W najbliższym tygodniu wyjedzie do Baj. Ziewnął raz i drugi, jak to czynił dawno temu na lekcjach retoryki i przeszedł do szatni. Długo zastanawiał się, którą togę weźmie. Pogłaskał psa, który kręcił się koło nóg i poszczekiwał; potem kazał zlać się wonnościami i wsiadł do lektyki. Ale w połowie drogi polecił niewolnikom stanąć. Wyjął spod poduszki tabliczki i zapisał: porównać świeżość wieczoru do oddechu Pulcherii.

Minął go orszak weselny, który przez chwilę gwarem i okrzykami napełnił zatopioną w zmierzchu ulicę. Kalenus powtórzył szeptem słowa pieśni weselnej, ułożone przez sławnego poetę z Sir-

ANNA KOWALSKA

WNUKOWIE



mio i zasmucił się, bo oto wszystko, co napisał, wydało mu się marne i bez uroku.

Był już przy domu Pryska. Skrzywił się: na przeciw niego szedł Paulus, autor dwóch epopei. Kalenus popatrzył dookoła, czy gdzie nie ma jakiej kolumny, za którą by się skrył, ale Paulus już go dostrzegł. Już był przy nim.

— Pryskus mówił, że i ty przybędziesz! Okrutny jesteś Kalenusie, że nie dałeś mi dotąd odpowiedzi, czy nowy mój poemat, który ci przesłałem, jest naprawdę taki dobry, jak o nim powiedział... — tu zaparł oddech i skłonił głowę — Pan i Bóg nasz, Domicjan. A jak smakowały ci brzoskwinie armeńskie, które odważyłem się ci posłać?

— Brzoskwinie? Myślę, że i ogrodnicy cesarza lepszych nie wyhodują. A poemat twój daj do przechowania strażnikom ksiąg sybillińskich! Gdybyś go napisał po grecku, przepadłby Homer!

—No widzisz, nie chciałem tego, nie chciałem! A co u ciebie słychać? Coś nowego się pisze?

Kalenus ożywił się i rzekł przyjaźnie:

— I ja także napisałem nowy poemat: o uczcie Tantala. Nie masz Paulusie pojęcia, ile zadałem sobie trudu, żeby nie opuścić żadnej z potraw, jakie tylko greccy kucharze wymyślili. Właśnie idę na ucztę do Pryska, żeby coś całkiem nieznanego dodać do mojego spisu.

Mówił tak pochlebnie o Prysku, bo Paulus był jego krewnym. Lecz Paulusa zupełnie nie zajmował poemat o uczcie Tantala. Rzekł jednak:

— Twoje słowa budzą we mnie głód Tantala. Kiedyż doczeka się Rzym tego poematu? Każę go wystudiować mojemu kucharzowi.

Widział, że Kalenus lekko się zmarszczył, więc zaraz dorzucił:

— A co Pulcheria nam porabia?

Kalenus roześmiał się.

— Pewnie objadła się bitą śmietaną z miodem i leży chora. Stara ciotka, która z nią mieszka i niańka, robią co tylko dziewczynie przyjdzie do uroczej główiny.

Nic nie powiedział o swym pergaminie purpurowym. Trzymał go w zanadrzu, ale już zrozumiał, że będzie musiał czytać po Paulusie, bo skoro Paulus jest krewnym Pryska, a Pryskus pożyczył Kalenusowi sporą sumę miesiąc temu, to trzeba zdobyć się na odrobinę rezygnacji.

— Cóżeś Kalenusie taki blady, jakbyś się wywaru z kminku napił, co czynią zakochani młodzieńcy! — zawołał Waleriusz Marcjalis, także zdążający do domu Pryska.

— Samych poetów sprasza dziś Pryskus? — zapytał bez humoru Kalenus, bo wolałby być jedynym poetą w towarzystwie. Tym więcej, że Marcjalisa unikał, bo cesarz go nie lubił.

— Samych? — odpowiedział Marcjalis. — Nie! Będzie jeszcze chyba kilku dostojników od brukowania ulic i zakupu zboża. A mnie wcale nie zaprosił. Zwykle z własnego natchnienia jadam u senatorów, a kto nie lęka się moich wierszy, niech mnie nie wpuszcza!

— Zobaczycie nowe kielichy ozdobione według ostatniej mody gemmami! — powiedział Paulus.

Weszli do sieni. W połowie niej były drzwi. Obok drzwi wychyliła się z okienka głowa odźwiernego i w tej chwili drzwi się otwarły. Westybul przywitał wchodzących rzędami posągów. W atrium, ogromnym, jak świątynia, chłodno było i cicho, jakby dom był pusty. Woda w impluwium pachnęła fiołkami. W rogach atrium stały srebrne lampy na wysokich postumentach. Kilka światełek huśtało się lekko nad każdą lampą i oświecało malowidła ścienne.

— Kazał przemalować według ostatniej mody! — pomyślał z niechęcią Kalenus, bo polubił dawne postacie, które witały go ze ścian, ile razy tu przychodził. Środkowym freskiem biegły lwy oskrzydlone, a na górze skrzydlate boginie zwycięstw podtrzymywały girlandy. Teraz barwy były jaskrawsze i gęsto pokryte figurami. — Za dużo tych sfinksów, pucharów, gołębi, wieńców i esówfloresów! — szepnął do Marcjalisa.

— Co chcesz, przyjacielu! — rzekł z nieznośną poufałością Marcjalis. — Pryskus lubi się objadać wszystkim, nawet malowidłami.

Z perystylu szedł odświeżająco gorzki zapach świeżo zroszonych bukszpanów i róż.

Pryskus wyszedł do gości. Witał ich podniesieniem dłoni. Dla każdego miał jakieś osobne pytanie, nawet Marcjalisowi coś miłego powiedział o rychłym zapewne powrocie do ojczyzny. Niby słuchał odpowiedzi, a prowadził gości ku triklinium, dając oczyma znaki służbie. Kalenus wywinął mu się zręcznie, bo zobaczył w tablinum stoły uginające się pod srebrnymi zastawami, tłoczonymi, kutymi, grawirowanymi, półki i szafy, gęsto zastawione wazami greckimi i apulijskimi. Najpierw przypatrzył się srebru, a potem podszedł ku skarbom wypalanej gliny. Czynił tak zawsze, kiedy tu przychodził, a dziś potrzebny mu był do nowego poematu szczegół z malowidła na jednej z waz. Dwaj młodzi greccy niewolnicy stali obok posągów tak nieruchomo, że posągi więcej miały życia od nich.

Wrocławska grupa młodych



Jerzy Cieślikowski Jan Pierzchała Romuald Cabaj Leszek Goliński Elżbieta Miłamczówna Jerzy Ziomek Tadeusz Lutogniewski Jan Gawałkiewicz

Daphne du Maurier, autorka dobrze znanej polskim czytelnikom powieści „Rebeka“, wydała obecnie najnowszą swą powieść pt. „Generał jego Królewskiej Mości“. Warto zaznaczyć, że tworzyła ją pod dachem pewnego wielkiego dworu, położonego na urwistym brzegu Kornwalii, dworu, który w ciągu ostatnich lat stał się jej domem rodzinnym. Nazywa się on Mellanby; wokół jego starych murów krąży wiele romantycznych opowiadań i legend, nic więc dziwnego, że posłużył pisarce za tło do najnowszej powieści. Istotnie, większa część akcji tej szczególnej historii rozgrywa się w Mellanby. W murach starego dworu znajduje się też po latach ostateczne rozwiązanie zagadki zaginionego syna Sir Ryszarda Grenvila, Generała Jego Królewskiej Mości.

Historia jedynej miłości słynnego generała zrośnięta jest z historią wojny cromwellowskiej. Wrą i kipią uczucia, akcja rozwija się bystro i gwałtownie w tej opowieści o sercu i szpadzie. Rozterki wewnętrzne, które ongiś rzuciły Anglię w odmęt wojny domowej, namiętności, wzniecone tym konfliktem, rozpłomieniają się na nowo w tym wielkim romansie historycznym. Wpleciona w dzieje tego smutnego okresu historii Anglii snuje się nić niezwykłej historii miłosnej, pełnej uniesień i udręk.

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

Gartred zobaczyłam pierwszy raz tego dnia, gdy najstarszy brat mój, Kit, przywiózł ją jako pannę młodą do naszego domu w Lanrest. Miała wtedy 22 lata, a ja, najmłodsza w rodzinie zaraz po Percym, byłam 10-letnią dziewczynką. Byliśmy szczęśliwą, bujnie rozgałęzioną rodziną, bardzo zżytą i swobodną. Ojciec mój, John Harris, nie troszczył się wcale o sprawy światowe: żył tylko swymi końmi, psami i spokojem niewielkiego dziedzictwa w Lanrest.

Zaślubiny odbyły się w Stowe, rodzinnym domu Gartred, a Percy i ja, przez jakieś tam dziecinne niedomaganie, czy może z jakiego innego powodu, nie byliśmy tam obecni.

— To tylko dlatego, że nasz młody pan jest dziedzicem Krzysztofa, pana na Radford, ona w ogóle wychodzi za niego zamąż — doleciało mnie z kuchni zdanie poprzez szczękanie naczyń.

Czepiłam się tego skrawka informacji i długo rozmyślałam nad nim i nad tym, co na to odpowiedział kucharz:

— Nie bardzo to patrzy na Grenvile'ów, żeby się chcieli równać z jakimś tam Harris'em z Lanrest.

Poszłam zadręczać Robina, który wtedy był moim najukochańszym bratem, żeby mi opowiedział coś o tych Grenvile'ach.

— Cieszy się, że to Kit pojechał szukać sobie żony, a nie ty — powiedziałam.

Robin uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by dotknąć moich włosów.

— Gdybym to ja był najstarszym synem, byłbym właśnie panem młodym na tym weselu — powiedział łagodnie.

Spojrzałam nań ukradkiem i spostrzegłam, że uśmiech jego zniknął, a na jego miejscu pojawił się dziwny wyraz smutku.

— Ale ci Grenvile'owie!... — nastawałam dalej — Dlaczego właściwie mamy być tak strasznie dumni z ich powodu?

— Bevil Grenvile jest najwspanialszym człowiekiem pod słońcem — odrzekł Robin. — Kit, Jo i ja byliśmy z nim razem w Oxford. A jego siostra jest bardzo piękna.

Nic ponadto nie mogłam z niego wydobyć. Ale mój brat Jo, przed którego sarkastyczny i wnikliwy umysł zaniosłam następnego dnia to samo pytanie, zdziwił się mej ignorancji.

— Honorato, dobiegłaś dojrzałego wieku lat 10 — natrząsał się ze mnie — i nie wiesz, że w Kornwalii są wszystkiego dwa rody, które się w ogóle liczą? Grenvile'owie i Arundell'owie; i oczywiście my, skromne plemię Harrisów jesteśmy przytłoczeni zaszczytem, jaki spada na nas z tego powodu, że nasz kochany brat Kit otrzymał dostojną rączkę tak zachwycającej Gartred. — Potem wsadził z powrotem nos w książkę i sprawa została zakończona.

W następnym tygodniu wszyscy pojechali do Stowe na uroczystości weselne. Musiałam utrzymywać swego ducha w stanie cierpliwości aż do ich powrotu, ale i wtedy wszyscy byli tacy jacyś oklapnięci i bez humoru od tego całego ucztowania i zabawy, że tylko siostra Cecylia dała upust swym wrażeniom przede mną. Rozpływała się nad wspaniałością Stowe i nad gościnnością Grenvile'ów. — Najbardziej mi się spodobał Bevil — mówiła. — A wszystkim innym tak samo — zatrzymała się na chwilę. — Wiesz, oni wszyscy mają włosy kasztanowate — powiedziała trochę ni w pięć, ni w dziewięć. — Kiedy się tam widziało kogoś z kasztanowatymi włosami, od razu można było być pewnym, że to któryś z Grenvile'ów. Nie podobał mi się jeden, co go tam nazywali Ryszard — dodała, marszcząc brwi.

— Dlaczego? Taki był brzydki? — spytałam.

— Nie — odparła zaskoczona. — Był nawet przystojniejszy, niż Bevil. Ale patrzył na nas wszystkich w sposób drwiący i pogardliwy, a jak raz w ścisku nadepnął mi na suknię, to nawet nie raczył przeprosić. Powiedzieli mi w Stowe, że to żołnierz.

— A jeszcze Gartred — przypomniałam. — Jeszcze mi o niej nie opowiedziałaś.

Ale ku mojemu umartwieniu Cecylia ziewnęła i wstała z krzesła. — Och, zanadto jestem zmęczona, żeby ci dłużej opowiadać.

Tak więc ostatecznie byłam zdana na to, co na własne oczy zobaczę, by móc wyrobić sobie jakieś zdanie. Zebraliśmy się wszyscy w hallu by ich powitać. Trzymałam się z tyłu, bo żywiołowo nie znosiłam, jak mnie przedstawiano i oto niespodzianie znalazła się przy mnie. Poczułam pod brodą jej chłodną dłoń.

— Więc to jest Honorata? — spytała.

Szczególna intonacja jej głosu wskazywała na to, że muszę jakoś bardzo niekorzystnie wyglądać, albo w jakikolwiek inny sposób robić złe wrażenie. Percy, jak to chłopiec — wybałuszył oczy na jej piękność i podszedł do niej od razu, ona zaś wsadziła mu w usta cukierek. Miała je przy sobie, żeby nas dzieci, sobie zjednywać, tak, jak się przekupuje obce psy.

— Czy Honorata też by chciała jednego? — spytała.

Nie mogłam oderwać oczu od jej twarzy. Coś mi przywodziła na pamięć nieodparcie... I nagle przpomniałam sobie. Znowu byłam małym dzieckiem w Radford, domu mego wuja, a on oprowadzał mnie po szklarniach w ogrodzie. Rósł tam jeden kwiat orchidei, całkiem samotnie; miał blady kolor kości słoniowej, a poprzez jego płatki biegła mała, szkarłatna żyłka. Tak pięknego kwiatu nie widziałam jeszcze nigdy. Wyciągnęłam rękę, by musnąć palcami tę miękką, aksamitną wspaniałość, a wtedy wuj szybko przyciągnął mnie do siebie za ramię.

— Nie ruszaj go, dziecko! — zawołał. — On ma trującą łodygę.

Cofnęłam się przestraszona.

Gartred przypominała mi ten kwiat. Gdy podawała mi cukierek, odwróciłam się, potrząsając głową, a ojciec, który nigdy w życiu nie odezwał się do mnie ostro, powiedział surowo:

— Honorato, jak ty się zachowujesz?

Gartred roześmiała się i wzruszyła ramionami. Wszyscy obecni zwrócili na mnie karcące spojrzenie, nawet Robin zmarszczył brwi. Matka wysłała mnie na górę do mego pokoju. Tak oto Gartred przybyła do Lanrest...

Małżeństwo ich trwało trzy lata. Nie zamierzam jednak teraz się o nim rozpisywać. To jedno jest pewne — między nami wrzała wojna. Ona — młoda, pewna siebie i dumna i ja — markotne dziecko, śledzące ją zza uchylonych drzwi i ciężkich kotar, obie byłyśmy jednako świadome wzajemnej wrogości.

Była pełnia lata. Czmychnąwszy z mego pokoju, wymknęłam się do ogrodu w nocnej koszulce. Okna gościnnego pokoju były otwarte na oścież i dobiegł mnie stamtąd głos Kit'a nienaturalnie podniesiony, jak gdyby we wzburzeniu.

— Zawsze jest tak samo — mówił — gdziekolwiek idziemy. Robisz ze mnie głupca przy wszystkich. Mówię ci, że nie zniosę tego dłużej.

Usłyszałam śmiech Gartred, a potem znowu Kit mówił tak, że mogłam słyszeć:

— A dzisiaj wieczór widziałem, jak przez stół uśmiechałaś się do niego, do mego rodzonego brata!

Serce we mnie skoczyło, gdy usłyszałam przy sobie kroki na posadzce i obejrzawszy się, przez ramię ujrzałam, że Robin stoi przy mnie w ciemności.

— Odejdź stąd — szepnął. — Odejdź zaraz...

Pokazałam palcem otwarte okno.

— To Kit i Gartred — rzekłam. — Jest zły na nią, że się do ciebie uśmiechała.

Usłyszałam, że Robin szybko złapał oddech i odwrócił się, jak gdyby chciał odejść, kiedy nagle Kit zaczął krzyczeć głośno i strasznie:

— Jeśli to się stanie, to cię zabiję! Klnę się Bogiem, że cię zabiję!

Wtedy Robin błyskawicznie pochylił się, podniósł kamień i rzucił go w okno. Szyba rozprysnęła się na drobne kawałki.

— To będziesz wtedy przeklętym tchórzem! — zawołał. — Chodź raczej i mnie zabij!

Podniosłam oczy i zobaczyłam twarz Kit'a, bladą i umęczoną, a za nim Gartred z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Obraz ten wyrył się w mej pamięci na zawsze — tych dwoje tam w oknie i Robin, nagle tak inny od tego brata, którego tak dobrze znałam i kochałam. Poczułam nagle wstyd za niego, za Kit'a, za siebie samą, ale przede wszystkim wypełniła mnie nienawiść do Gartred, która rozpętała tę burzę, sama przez nią nie tknięta.

Odwróciłam się i pobiegłam na górę do swego łóżeczka nie mówiąc nikomu ani słowa. Co się dalej działo między nimi, nigdy się nie dowiedziałam. Zaświtał nowy dzień i wszystko było po dawnemu, tylko że Robin wyjechał zaraz po śniadaniu i nie wrócił, póki Kit i Gartred nie odjechali do Radford.

W następnym roku, 1623, epidemia ospy rozszalała w całej Kornwalii, niczym prawdziwy bicz boży. Niewiele było rodzin, które by oszczędziła. W czerwcu zachorował ojciec i umarł za parę tygodni, a za nim jeszcze oprzytomnieliśmy po tym ciosie, nadeszła wiadomość, że Kit padł ofiarą tej samej potwornej zarazy i że nie ma nadziei, by wyzdrowiał.

Rys. K. Cękalska-Baurska

ROMULUSA

Kalenus rozpoznawał kopie najlepszych mistrzów greckich. Przypatrywał się im czujnie, jak się patrzy na drogie sercu rzeczy, ale męczyła go obecność niewolników. — Czyż by pilnowali? — pomyślał i przypomniał sobie, co opowiadano o senatorze Maksymie: że chował w fałdy togi statuetki z kości słoniowej albo nawet wzorzyste serwetki, gdy bawił w gościnie u wytwornych przyjaciół.

Żona Pryska Fausta i żona Paulusa Rufina weszły rozszczebiotane, jak dziewczynki. Pewnie od samego rana ondulowała je jakaś sławna mistrzyni żelazka, bo obie miały taką fryzurę, w jakiej pokazała się ostatnio cesarzowa w teatrze. Małe loczki, jak wąsy wina, okalały im skronie i twarze złotawym runem, bo obie panie malowały włosy. Na tyle głowy włosy ułożone były jakby w koszyk. Fausta usiadła na środkowym łożu, a Rufina na niskim. Ułożyły na kolanach wachlarze gęstych fałdów i udrapowały palle. Fausta miała błękitną muślinową suknię w złote palmety i ciemnobłękitną pallę, a Rufina tunikę z białego jedwabiu tkaną w gwiazdy i białą pallę podbitą jedwabiem koloru ametystu. Mężczyźni ułożyli się wygodnie na łożach, opierając się na poduszkach. Młodzi niewolnicy półnadzy krzątali się koło stołów podręcznych, na których stały amfory z winem i przystawki.

— Chwalmy stare obyczaje — rzekł gospodarz — ale trzymajmy dobrych kucharzy. Mój Egnacjusz da nam dzisiaj pokaz dobrego życia. Niedarmo pochodzi z błogosławionego Tartessu. Romulus w niebie, jak powiadają, karmi się rzepą, jak Rzymianie w dawnych czasach. Na wsi jeszcze zachowują dawną polewkę narodową z mąki, wody, miodu, jaj i sera. My zaczniemy od oliwek. Chociaż wszystkie przyprawy wędrowały z różnych krajów, kucharz uzgodnił i zharmonizował ich smaki.

Marcjalis rozejrzał się po stołach i rzekł:

— Całe Imperium Romanum przysmaków!

— Nieprzebrany materiał do mojego poematu o uczcie Tantala! — wykrzyknął Kalenus.

— Owszem, bardzo przebrany! — poprawił go Paulus i był zadowolony z dowcipu retorycznego. Ale nikt go nie słuchał.

— Ocet z Egiptu! — powiedziała Rufina, spojrzawszy pod światło na ampułkę.

— Cytryny z Korkyry! — zgadywał Kalenus. I już na wyścigi popisywali się:

— Sos rybny z iberyjskiej makreli!

— Wino z Chios!

— Ale i różne części Italii pracowały tu dla nas! — skromnie uzupełnił gospodarz i wstał przywitać dwóch prokuratorów, którzy właśnie nadeszli.

— Ho, ta wątroba z białej gęsi jest większa od niejednej gęsi! — rzekł Marcjalis.

— A w kuchni szukają patelni dla płaszczki, bo moja płaszczka jest większa od największych patelni! — skarżyła się Fausta.

— Nie wiecie — zapytał jeden z prokuratorów — że wczoraj razem z poczciwym Pryskiem zastanawialiśmy się w senacie, w jakim sosie należy przyrządzać płaszczkę?

— I cóż senat uchwalił? — dowiadywała się Rufina. Nachyliła się ku Pryskowi i piła z ust jego odpowiedź, jakby od niej zależało zbawienie państwa.

— Senat odroczył obrady nad tym do przyszłego tygodnia, bo nadeszła wieść o rozruchach w Dacji — rzekł z powagą Pryskus. — Ten sos, w którym my podajemy płaszczkę naszym dostojnym gościom, nie jest jeszcze SC, ale mam nadzieję, że senat przyjmie mój przepis.

— Daj mi, drogi, twój przepis, zwrócę ci go wierszem bohaterskim! — rzekł przedziwnie uprzejmie Kalenus. Paulus w roztargnieniu zjadał mięso dzika, które dzięki chytrości kucharza smakowało jak zajęcze. Myślał o chwili, kiedy rozpocznie czytać swój poemat, pochwalony przez cesarza. Myśląc o tej chwili, strącił ogon pawia z pieczystego, które niewolniczek mu podawał, za co musiał znieść nieprzyjemny wzrok krewniaka i gospodarza.

Tymczasem niewolnicy roznosili w szklanych amforach barweny. Wnet miano amfory umieścić na trójnogach nad płomieniem, aby goście obserwując, jak ryby w ukropie zaczną zmieniać barwę, upewnili się, że dostają świeże barweny, prosto z wody.

— Z którego roku jest to falerneńskie wino? — zapytał Paulus. Czuł, że się przed tym narazi gospodarzowi i chciał teraz mu się przymilić. Ale Marcjalis zepsuł mu tę sposobność.

— Konsulów wtedy pewnie jeszcze nie było, gdy to wino wyciskano, dlatego trudno jego wiek podać! — zażartował.



Pryskus ciężko sapał, bo cóżby teraz znaczyło, gdyby pochwalił się, że wino pamięta czasy rzeczypospolitej? I sama wzmianka o rzeczypospolitej mogła być niestosowna!

— Za to o oliwie mogę powiedzieć, że jest tegoroczna i spod pierwszej prasy, dlatego ma kolor seledynowy i pachnie migdałami — rzekła Fausta, wyręczając oniemiałego męża.

— Na Apolina! Witam w tobie, Fausto, Safonę! Jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktoś tak chwalił oliwę! — To Paulus tak zaskarbiał sobie łaski gospodyni.

— A ja czuję, że stanę się poetą po pigwach! — rzekł Kalenus, jakby zastrzegając sobie czas dla swojej recytacji.

— Zbierane są o nowiu! A pietruszki także! — powiedziała Fausta.

— Macie więc astrologa do jarzyn? — i Kalenus zaczął opowiadać prokuratorowi (bo nikt inny nie słuchał) o wpływie ciał niebieskich nie tylko na pietruszkę, ale także na natchnienie. Marcjalis jadł ze smakiem, bo dla niego natchnieniem było przede wszystkim pieczyste.

Panie wstały, gdyż właściwa uczta się skończyła. Mężczyźni namaścili się wonnościami i zaczęli przepijać do siebie. Niewolnicy odstawili amforę z winem mieszanym z miodem, które piły panie.

Paulus wychylił kielich.

— Chciałem właśnie przeczytać wam, przyjaciele, poemat, który podobał się cesarzowi! — ostatnie słowa wygłosił dobitnie, jakby one znaczyły: W imieniu prawa wzywam was do wysłuchania poematu.

Już jakieś kilkaset wierszy wyskandował w oniemiałe twarze biesiadników, kiedy zrobiło się duszno. W głębi domu rozległ się hałas i krzyki. Wpadli niewolnicy i szepnęli coś gospodarzowi. Pryskus odesłał ich ręką, żeby nie przeszkadzali, skoro sam cesarz pochwalił ten poemat. Ale zaraz wpadła Fausta bez palli, w rozwianej tunice.

— Pali się przecież!

— Pali się! — odetchnął Kalenus.

— Pali się? A ja właśnie czytam o spaleniu Troi. Może to przez to? — zapytał Paulus. Gospodarz spojrzał na prokuratorów, bo nie wiedział, czy wolno przerwać lekturę poematu pochwalonego przez cesarza, pod pozorem ratowania domu od pożaru. Ale prokuratorowie sami obawiali się usmażyć, więc naglili do ratunku. Goście, gospodarz i niewolnicy pobiegli więc do kuchni, skąd dym buchał.

— Egnacjusz, szelma Hiszpan, gdzieś zniknął, a kuchta, zadowolony, że mu się uczta udała, podpił sobie i przewrócił piecyk. Dach się zajął, bo belkowanie jest tam drewniane. Zaraz ugaszą. No nic, wróćmy do triklinium — radził Pryskus.

Paulus zacznie czytać dalej! Kalenus nic nie mówiąc, wyszedł przez perystyl na ogród, a stamtąd bocznymi drzwiami na ulicę.

— Pomyślą, że się przestraszyłem! No, bagatela! Odwaga szkodzi więcej.

Szedł, wsłuchując się w odgłos własnych kroków.

Domy w świetle księżyca były błękitne, jak palla Fausty. Zapisał to porównanie. Od Tybru powiał wiatr i niósł za nim stukanie drugiej jeszcze pary sandałów. Marcjalis biegł za nim, postękując.

— Dopiero sześciu pierwszych dań skosztowałem, ale trudno nie wyjść, gdy kto Hiszpan nazywa szelmami.

Dreptał obok wytwornego dyletanta Kalenusa, sam wielki poeta, w brudnej todze, nieprzyjemnie roześmiany na twarzy źle ogolonej.

— Ja i kucharz Egnacjusz jesteśmy, jak wiesz, rodakami — mówił dalej. — Często zachodzę do kuchen, wolę to, niż rozmowy z senatorami. Otóż wczoraj powiedział mi Egnacjusz, że na dziś spodziewa się powrotu syna z legionami Trajana. A wiesz, Trajan, to mój drugi rodak: mój i kucharza Egnacjusza.

Kalenus nie był rad spotkania.

— Ha, więc wódz, kucharz i...
— zawahał się, bo nie chciał obrazić złośliwego poety.

— ...i parazyt. Wszystko rodzi się w naszej bogatej Hiszpanii. A ty, nie bądźże taki wytworny. Kalenusie. Jestem tylko parazytem, niegodnym twoich względów. Niedługo zresztą wyjadę, bo wieś dostałem w kraju od wielbicielki rodaczki!

Dreptał poufale u boku Kalenusa, zamiatając kurz połą togi źle narzuconej.

— Ale mną się nie martw! Ja chodzę brudny, a ty piszesz wiersze, widzisz, każdy ma coś nieprzyjemnego! A co do kucharza, to patrz, mój kochany, jego syn zdobywa swoją krwią nowe kraje dla was, skąd będziecie sprowadzali nieznane jeszcze przysmaki, nakradniecie złota i marmurów, nabierzecie niewolników i czego tam nie ma, co może się przydać wam albo waszym kobietom. Sądzę, że Pryskus powinien codziennie całować swojego kucharza w rękę i zamiast nazywać go szelmą Hiszpanem, należałoby się powiedzieć do niego: mój dobrodzieju i ojcze ojczyzny!

Kalenus zadrżał z gniewu i zapragnął zmienić przedmiot rozmowy.

— No, więc Trajan wraca?

— Już wrócił, kochanku! Właśnie widziałem go z Palatynu, jak kroczył na czele swoich legionów.

— To nie ubiega się o triumf?

— Hiszpanin? Triumf zresztą należy do tej waszej lalki cesarskiej. Trajan, rozumiesz, to jest prosty żołnierz i człowiek z prowincji: nie zależy mu na paradach. Wiesz, jak go już teraz nazywają? Optimus. A waszego Domicjana nazywają tylko: Pan i Bóg!

I do ucha dorzucił Kalenusowi:

— Trajan już niedługo będzie cesarzem. Legiony tak chcą!

Kalenus odskoczył od Marcjalisa.

— Jak to? Człowiek z prowincji cesarzem? Nierzymianin?

— A ja, człowiek z prowincji, czyż nie jestem największym poetą Rzymu? — rzekł rubasznie Marcjalis.

— No, poetą, może być, ale...
— nie śmiał dokończyć.

— Mój drogi, wy, wnukowie Romulusa zbieracie się w senacie, żeby radzić nad sosem do płaszczki! Trudno, inni muszą wziąć na siebie losy świata.

Stali przed domem Pulcherii. Mały poeta nie miał ochoty prosić wielkiego poety, by wstąpił na chwilę do domu, który był jakby jego domem, bo się obawiał, że Marcjalis zabrudzi kanapę Pulcherii, albo napluje na mozaikę i będą spazmy! Jednak na świeżym powietrzu przyszedł mu, jak zawsze, nowy pomysł do głowy, więc zatrzymał się jeszcze na chwilę.

— Wiesz co, Waleriuszu — zagadnął go. — Zacząłbym pisać poemat na cześć Trajana. Mogło by to mi zjednać jego względy, gdyby się stało to, co ty mówisz! Ale zachowuj to w największej tajemnicy, póki nie wyjedziesz!

— Bądź spokojny, Kalenusie! Choćbyś napisał dwadzieścia cztery śpiewów bohaterskich o Trajanie, on je także zachowa w największej tajemnicy! Jakbyś go porównał z Neronem lub choćby z Domicjanem, to barbarzyńca! Wiesz, o czym on myśli, gdy nie jest na wojnie? Chce założyć kasę, z której by państwo udzielało pożyczek drobnym rolnikom na bardzo niski procent, a dochody przeznaczy na biedne dzieci każdego okręgu kasowego. Prócz tego opowiadają, że zorganizuje pomoc państwową dla rodzin niezamożnych!

— Wątpię, czy toby się dało opisać heksametrami. A nadto zrujnuje państwo!

— Trajan? To za dobry żołnierz! Kiedy przyłączy Dację, wasze imperium będzie większe od tego, które stworzyli wasi cesarze. On pierwszy zajmie się ubogimi waszego imperium. Bo to człowiek z prowincji, wie, jak życie prawdziwe wygląda.

Kalenus podniósł rączkę spiżową i zastukał we drzwi.

— Hm, jak życie prawdziwe wygląda! Może być. Może ty dlatego jesteś takim poetą, że i ty to wiesz? Mnie trudno...

— Widzisz? Bo już drugi raz nie można być Katullem lub Owidiuszem! Świat jest teraz tak wielki, że kaszelek Cyruska nie rozejdzie się po nim od krańca do krańca, dokąd sięga język łaciński! — tłumaczył mu niby przyjacielsko, a prześmiewnie Marcjalis. — A moje drwiny dotrą, bo cały świat was nienawidzi! Aha! — krzyknął i zatulony w poplamioną togę toczył się ku łukowi Tytusa.

Kalenus wydobył owinięty wstążką pergamin purpurowy i wszedł do pałacu.

Młodzi poeci Wrocławia

ELŻBIETA MIŁANCZÓWNA

Grunwaldzki Most

Nad kanałami obłoki
— drzewa obłoki zielone
na wodę wiatr zgania miękkie
gdzie dzieci
dzieci różowe i białe
w gejzerach z dna wybuchają
— w słońcu dzieci na mieliźnie nagie.

A dalej to są kościoły:
Święty Krzyż i Katedra
Na Piasku i święta Jadwiga
i jeszcze wiele innych świętych
których nie poznaję
bo tu nad kanałami
są nazbyt kamienni
i ciężcy w rzeźbionych fałdach.

Przychylne są dzieciom
mury zburzonych kościołów
gdy śmiech sięga
ciężkiej wieży katedry.

I dalej robotnicy
odbudowują Grunwaldzki most
bo tak się już teraz dzieje
że Grunwald jest tylko wtedy
gdy twarde przęsła podnosi
ludzka bezbronna ręka.

Miasto jest jeszcze dalej
— nad wodą czerwona cegła
i niebo
niebo w oknach pojaśniałych.

Ale bliżej także przeszła
w niebieskiej sukience lekka.
Dookoła wiatr okręca błękitną chorągiewkę:
sygnalizuje...
sygnalizuje...
pokojowy nalot jaskółek.

I już nie ma chyba nic więcej
wszystko:
to dzieci i woda
drzewa, dziewczyna, kościoły.
— koniec.
I tylko dalej
robotnicy odbudowują Grunwaldzki most.

ANDRZEJ BRAUN

Czerwone kokardy

Dziewczyna zawieszała flagę
przegięta w oknie, niby skrzypce,
włosy przekwitłe w zwiędłą algę —
w te noce od łez pierwszych szybsze.

Okno na brzeg. Przez mrok zaczyna
sygnałem kusić przeznaczenie.
Magiczna lampo Alladyna
niech sen ukryje obcą ziemię.

Syrena, światło zwodne fali
z szubienic słucha ludzkich głosów.
Niech umęczona noc oddali
bezbronną nić ludzkiego losu.

Składano serca wazon pusty
pod rzeźbę pierwszych fortepianów,
wille pokładły się w ligustry
jak w czarne kwiaty karawanu.

W łazience pośród zbitych luster
biały grzbiet Kristel spał z żołnierzem —
morze ozorem krowim pluszcze
i ptaki opuszczają leże.

Głód o słonecznych oczach, skwarny
świt, co uchyla kutą bramę.
Kłamstwo! człowiek i posąg kłamie
w niemieckich klapach krew kokardy.

Tłum. Małgorzata Stanisławska

Królewskiej Mości

Tak więc zaledwie parę tygodni oddzieliło śmierć ojca od śmierci pierwszego syna. Jo, nasz uczony, został teraz głową rodziny.

Gartred zjechała do nas, wraz ze swym bratem Bevil'em, na odczytanie testamentu, a kiedy wszystkie sprawy załatwiono i kiedy wreszcie sobie od nas pojechali, wszyscy, zdaje się, odetchnęliśmy z ulgą.

— To już koniec — powiedziałam sobie. — Tyleśmy ich widzieli. Skończyliśmy z Grenvile'ami.

Los jednak zrządził inaczej.

* * *

Moje 18 urodziny! Jasny dzień grudniowy. Dusza moja rwie się w górę, jak ptak, kiedy patrząc poprzez oślepiające blaskiem morze, śledzę z Radford flotę Jego Królewskiej Mości, wpływającą do cieśniny Plymouth.

— Piękne zakończenie dla twoich urodzin — rzekł mój brat z uśmiechem. — Jesteśmy wszyscy zaproszeni na przyjęcie na zamku, pod protektoratem księcia Buckingham.

Przed kilkoma laty zmarł wuj Krzysztof, pan na Radford, a z tą chwilą Jo objął po nim dziedzictwo. Na dodatek pojął za żonę jedną z okolicznych dziedziczek, Elżbietę Champernowne, której miłe obejście i równe usposobienie wynagradzały brak urody.

W wielkiej sali balowej na zamku było kolorowo i podniecająco, a mnie się wydawało, że cała ta olśniewająca wystawa jest niejako hołdem dla mych 18 urodzin.

Przepychałam się naprzód, nie dbając wcale o to, że mogłam się wydać zbyt śmiała, a wtedy niespodzianie tłum się rozstąpił, zrobiło się przejście i oto nagle znalazłam się o dwa kroki od książęcego orszaku i samego księcia.

Pamiętam, że stałam przez chwilę w konsternacji, a potem, tracąc zimną krew, złożyłam ukłon tak niski, jakby to był sam król Karol. Lekki śmiech przefrunął ponad ma głową. Podnosząc oczy, ujrzałam swego brata Jo, z dziwną mieszaniną rozbawienia i zmieszania rozlaną na twarzy. Wyszedł do mnie z grona tych, którzy otaczali księcia i pochyliwszy się nade mną, pomógł mi się podnieść, gdyż skłoniłam się tak nisko, że z trudem utrzymywałam się na nogach i ani rusz nie mogłam się wyprostować.

— Czy wolno mi przedstawić siostrę moją, Honoratę, Wasza Łaskawość? — usłyszałam nad sobą jego głos. — Muszę dodać, że są to jej 18 urodziny, a także jej pierwszy występ w towarzystwie. Książę Buckingham skłonił się z powagą i unosząc mą dłoń do swoich warg, życzył mi wszystkiego najlepszego. Potem ruszył dalej, a brat mój, wmieszany w jego świtę, jeszcze raz odwrócił się ku mnie, by ukazać mi surowo zmarszczone brwi.

Zaklęłam z cicha pod nosem i w tej samej chwili usłyszałam, że ktoś przy mnie mówi: — Jeśli Waćpanna masz ochotę wyjść ze mną na mury, pokażę ci, jak się to powinno robić.

Odwróciłam się gwałtownie, by ujrzeć patrzącego na mnie z sardonicznym uśmiechem z wysokości co najmniej sześciu stóp jakiegoś oficera, który na piersiach miał jeszcze pancerz ze srebrnej blachy, nałożony na błękitną tunikę i srebrno-błękitną szarfę, biegnącą wokół pasa. Oczy miał złoto-brązowe; włosy — kasztanowate.

— Czy masz waćpan zamiar uczyć mnie, jak się składa ukłony dworskie, czy też — jak się klnie? — rzekłam mu z pasją.

— Cóż... — I tego, i tego, jeśli tylko waćpanna sobie życzysz. Jeśli chodzi o ukłony, to popis waćpanny wypadł opłakanie, a jeśli chodzi o klęcie, to był na poziomie zaledwie amatorskim.

Jego gburowatość odjęła mi wprost mowę. Z trudem mogłam uwierzyć własnym uszom. Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam się przepychać przez tłum, zmierzając ku wyjściu, a wtedy jeszcze raz usłyszałam za sobą drwiący głos, wołający wysokim, jasnym tonem:

— Miejsce dla jejmość panny Honoraty Harris z Lanrest!

Ludzie spoglądali na mnie zdumieni, mimo woli cofając się wstecz. Szłam przed siebie z ogniami na twarzy, ledwie że wiedząc, co się ze mną dzieje. Oprzytomniałam z lekka, znalazłszy się w zimnym powietrzu, na murach, otaczających zamek. Mój wstrętny towarzysz szedł za mną jeszcze i tu, potem nagle stanął, spoglądając w dół na mnie, z tym samym drwiącym uśmiechem na twarzy.

— Więc to Waćpanna jesteś tą małą dziewczynką, której moja siostra tak bardzo nie cierpiała — powiedział.

— Kim Waćpan jesteś? — spytałam.

— Sir Ryszard Grenvile — odrzekł — pułkownik Armii Jego Królewskiej Mości, przed niedługą chwilą obdarzony tytułem książęcym za niezwykłe męstwo, okazane w polu.

Co za szkoda, że maniery Waćpana nie mogą się żadnym sposobem równać z waszym męstwem.

Uśmiech jego, już nie sardoniczny, a rozbrajający, obezwładnił mnie. Poczułam, że złość we mnie zamiera.

— Chodź Waćpanna zobaczyć flotę. Okręt stojący na kotwicy, to śliczna rzecz.

Poszliśmy dalej wzdłuż murów, by móc wypuścić wzrok daleko po przez cieśninę. Noc była cicha, jasna i księżyc właśnie wzeszedł. Okręty trwały nieruchomo na wodzie. W świetle księżyca zarysy ich odcinały się ostro i wyraźnie.

— Poniosłeś Waćpan wielkie straty w La Rochelle? — spytałam.

— Nie większe, niż mogłem się był spodziewać po wyprawie, która z góry była skazana na niepowodzenie — odparł, wzruszając ramionami. — Skoro żadnemu innemu oficerowi prócz mnie nie zależy na przestrzeganiu dyscypliny, nie należy się dziwić, że atak się nie powiódł.

Jego pewność siebie zdumiała mnie tak samo, jak przedtem jego nieokrzesanie.

— Czy do swoich zwierzchników odzywasz się Waćpan w ten sam sposób? — spytałam.

— Jeśli Waćpanna masz na myśli kogoś, kto by mnie przewyższał w sprawach wojskowych, wiedz, że taki człowiek nie istnieje — odrzekł. — A co do ludzi wyższych ode mnie rangą, to cóż: tak, nie inaczej. I właśnie dlatego, chociaż nie mam jeszcze nawet 29 lat, już jestem najbardziej nielubianym oficerem w Armii Jego Królewskiej Mości.

Spojrzał w dół ku mnie z uśmiechem i raz jeszcze tego wieczora zapomniałam języka w gębie.

Prowadził mnie z powrotem do zamku, gdzie ku memu wielkiemu zamieszaniu okazało się, że wszyscy goście siedzą już przy długich stołach w sali bankietowej, a służący wnoszą właśnie półmiski.

— Wracajmy! — błagałam, czepiając się jego ramienia. — Patrz Waćpan, nie ma już dla nas miejsca. Wszystkie są zajęte!

— Wracać? Nigdy w życiu! — odparł. Ja chcę zjeść obiad.

Przepychał się koło kuchcików, niemalże unosząc mnie z ziemi. Wśród gwaru rozmów ujarzałam setki twarzy, zwróconych ku nam. Nic innego nie mogłam robić, jak tylko spiesznie biec naprzód, nadeptując sobie na suknię, podczas, gdy nieustępliwe ramię Ryszarda Grenvile niosło mnie niemal, aż do pierwszych miejsc przy stole, w najodleglejszym krańcu sali. Siedział tam książę Buckingham, biesiadując w otoczeniu kornwalijskich magnatów.

— Zabierasz mnie Waćpan do pierwszych miejsc!? — protestowałam, wszystkimi siłami wydzierając się jego ramieniu.

— Więc co z tego? — spytał, spoglądając na mnie ze zdziwieniem. — Niech mnie kule biją, jeśli będę jadł gdzie indziej. Miejsce dla Sir Ryszarda Grenvile!

Na dźwięk tego głosu kuchciki rozpłaszczyli się na ścianach, wszystkie głowy się odwróciły i zobaczyłam, że sam książę Buckingham przerwał prowadzoną rozmowę. Krzesła zsunięto, goście się pościeśniali i jakoś ostatecznie zmieściliśmy się przy stole, oddaleni od księcia zaledwie o długość ramienia.

Modliłam się o śmierć, ale jakoś nie chciała nadejść. Zamiast tego musiałam się zabrać do pieczonego łabędzia, który leżał, piętrząc się na moim talerzu. Książę Buckingham zwrócił się do mnie z kielichem w ręce.

— Życzę, byś Waćpanna jeszcze wiele, wiele razy mogła się cieszyć dniem swoich urodzin — powiedział.

Wyszeptałam jakieś podziękowania, strząsając loki na twarz, by zakryć płomień na mych policzkach.

Nareszcie uczta się skończyła i poczułam, że mój towarzysz stawia mnie na nogi. Wino, które łykałam tak, jakby to była woda, zrobiło z nich galaretę. Musiałam oprzeć się na nim, by nie upaść.

— Oprzyj się Waćpanna na moim ramieniu, o tak — powiedział do mnie. — Biedne maleństwo, cóż za zakończenie 18 urodzin! — Poczułam, że wstrząsa nim cichy śmiech, a mimo to jego ręce i głos były dziwnie czułe. Ja zaś byłam w siódmym niebie.

— Widzę, że ostatecznie jesteś Waćpan podobny do swego brata Bevila — powiedziałam.

— Ja nie — odparł. — Bevil jest gentlemanem, a ja gałganem. Zawsze byłem czarną owcą w rodzinie.

— A co z Gartred? — spytałam.

— Gartred chodzi własnymi drogami. Musiałaś to Waćpanna zauważyć już wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką, a ona poślubiła waszego brata.

— Nienawidziłam jej z całego serca.

— Nie bardzo masz się Waćpanna czego wstydzić.

— A czy jest zadowolona teraz, kiedy na nowo wyszła za mąż?

— Gartred nigdy nie będzie zadowolona. Jest z urodzenia chciwa, nie tylko pieniędzy, ale i mężczyzn. Robiła oko do Antoniego Denys, swego obecnego męża, na długo zanim umarł brat Waćpanny.

— I nie tylko do Antoniego Denys — powiedziałam.

— Jak na małą dziewczynkę miałaś Waćpanna cienkie uszy.

— Byłeś Waćpan uprzejmy dla mnie — powiedziałam, robiąc się nagle sztywna i bardzo świadoma swych 18 lat. — Nie zapomnę nigdy dzisiejszego wieczoru.

— Ja także nie — odparł.

— Może lepiej odprowadzisz mnie Waćpan do mych braci.

— Może lepiej — potwierdził. (c. d. n.)

(Tytuł oryginalny: „The King's General".)

Tydzień spraw zachodnich

A. Polityka i gospodarka

Józef Kulikowski — „Baza zagranicz na polskiego rybołówstwa morskiego" (Jantar 3).
Stefan Biskupski — „Żuławy gdańskie — obecny stan zagospodarowania i możliwości na przyszłość" (j. w.).
„Z życia gospodarczego Pomorza" (j. w.).
Maria Krajewska — Na marginesie III Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych (Strażnica Zach Nr 9).
Jan Klementowski — „Wśród winnic i kominów Zielonej Góry" (Polska Zach. 39).
Władysław Sieniawski — Po dwu latach (Szczecin, 37—38).

B. Nauka, kultura, sztuka

Józef Borowik — „Nauka polska a Pomorze Szczecińskie" — (Jantar, zeszyt 3).
Andrzej Grodek — „Szczecin jako ośrodek naukowy" (j. w.).
Aleksandra Majewska — „Zamek książęcy w Szczecinie" (j. w.).
Jan Młynarczyk — Stan szkolnictwa i jego rozwój w okręgu szkolnym gdańskim (j. w.).
Kronika naukowa i kulturalna Pomorza (j. w.).
Józef Kostrzewski — 90 lat w służbie nauki i narodu (Z Otchłani wieków 9—10).
Bogdan Kostrzewski — Dzieje muzeum prehistorycznego w Poznaniu (j. w.).
Kazimierz Tymieniecki — Wojciech Kętrzyński jako historyk Słowiańszczyzny (j. w.).
Tadeusz Wieczorowski — Stan. potrzeby i zadania działu prehistorycznego muzeum miejskiego w Szczecinie (j. w.).
Gustaw Morcinek — Żeby język nie uciekał do Niemiec (Żołnierz Polski, 100).
Stanisław Podlewski — Sieć zamknięta — (Dziś i Jutro nr 39).
Karol W. Zawodziński — Ortoepia, ortografia a pozostałości faszyzmu (Warszawa, 11).
Kazimierz Winkler - Augustowski — Penelopa na polskiej wyspie (j. w.).
Marian Brandys — Sprawa jednej uczelni (Odrodzenie. 39).
W. Dobrowolski — Kościółki drewniane na Śląsku (Ogniwa. 39).
Zdzisław Hierowski — Zapomniany poemat śląski (j. w.).

C. Narodowościowe

Marek St. Korowicz — Narodziny zasady przesiedlenia (Strażnica Zachodnia Nr 9).
Zygmunt Izdebski — Doświadczenie opolskie — podstawy repolonizacji (j. w.).
Ludwik Zabrocki — O Słowińcach i Kaszubach Nadłabskich (Jantar, 3).
Kazimierz Slaski — Element słowiański wśród ludności dawnego Kołobrzegu (j. w.).
Janusz Bożydar Daniewski — Sprawa prakolebki Słowian (Strażnica Zachodnia, 9).
P. D. — Zabrze było polskie także 1939 r. — (Ogniwa, 39).
Aleksander Baumgardten — Śląsk w oczach przybysza (Odrodzenie, 39).

D. Literatura i reportaż

Adam Hollanek — Kaprysy (Żołnierz Polski, 100).
Władysław Machejek — Przez wieś (j. w.).
Jerzy Kirchmayer — Czy zmierzch bohaterów (j. w.).
Tadeusz Borowski — Umarłym poetom (j. w.).
Teodor Goździkiewicz — Czaty (Warszawa. 11).
Józefa Lis-Błońska — Więc tak jest w Ustce (j. w.).
Antoni Sylwester — Ziemia pamiątek i uroków (Elbląg) (Ogniwa 39)
Julian Stryjkowski — Dożynki w Opolu (Trybuna Wolności 33).
Eugeniusz Paukszta — Ryby, grzyby i... jeszcze nie wędliny /Mazury/ (Polska Zachodnia 39).
Jerzy Brudzewski — Fabryki zdrowia na Dolnym Śląsku (Tygodnik Powszechny, 39).

WOJNA I OKUPACJA

Jan Huszcza — Był teatr nad Oką (Żołnierz Polski, 100).
D. J. Płoński — 5 minut po Hitlerze (j. w.).
Tajny Dokument III Rzeszy — (j. w.).
Czesław Janczarski — Warszawa 1939 (Warszawa 11).
Włodzimierz Wnuk — Sen więźnia urzeczywistniony — (Tygodnik Powszechny 39).
W. Brzeziński — Wał pomorski (Bellona, 8).

SPRAWY NIEMIEC

Kazimierz Gołba — Hitleryzm a III powstanie śląskie (Ogniwa, 39).
Egon Naganowski — Droga Tomasza Manna (Odrodzenie, 39).

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Na marginesie
»Dziejów głupoty w Polsce«

I.

Omawiając książkę Aleksandra Bocheńskiego*) „Dzieje głupoty w Polsce", wypada rozpocząć od pewnego przypomnienia.

Przed kilku miesiącami toczyła się na łamach niektórych pism, a głównie „Tygodnika Powszechnego", bardzo interesująca dyskusja nad sensem i zakresem militarnej ofiary, jaką winien ponosić lub też omijać naród, szczególnie naród polski. Zaczęło od tego, iż w uczniowskim piśmie „Młoda Rzeczpospolita", jeden z młodocianych publicystów postawił palące pytanie o sens ofiary militarnej i wobec tego o sens czci ofierze tej należnej. Pytanie nadzwyczaj ważkie, gdyż czcząc i honorując ofiary przeszłości, wychowujemy ludzi do takich samych ofiar w przyszłości. Dyskusja jednak toczyła się nie tyle czci dla przeszłości, co w ogóle sensu żołnierskiej śmierci. W „Tygodniku Powszechnym" Hanna Malewska sformułowała dobitną opinię — parafrazując zresztą w pewien sposób konkluzję „Sprawy Polaków" Osmańczyka — opinię mogącą po równi uchodzić za klasyczny wyraz oportunizmu jak realizmu politycznego: żaden żołnierz polski nie powinien już *więcej polec na polu bitwy*. I wtedy odezwał się Bocheński, który deklarując niewiarę w rychłe urzeczywistnienie generalnego pokoju, uważa za celowe dalsze uprawianie rzemiosła żołnierskiego, dopuszcza wojny jako czynnik międzynarodowych rozstrzygnięć i konsekwentnie broni kultu bohaterstwa żołnierskiego. Malewską poparło parę innych osób. Ktoś też podpisał się pod tezami, zbliżonymi do Bocheńskiego. Do żadnych uzgodnień nie doszło.

Mam wrażenie, iż obie grupy dyskutantów dlatego nie znalazły wspólnego języka, że każda rozpatrywała sprawę w odmiennym aspekcie. Bocheński ujął rzecz zasadniczo, merytorycznie, generalnie. Słusznie woli być w sprawach pokoju sceptykiem niż łudzącym się entuzjastą. Rację ma, gdy wprowadza rozróżnienie na świadomość polityczną kierownictwa narodowego i na działanie mas ludzkich. Tezy tak generalne mogłyby się ukazać bez zmian w pismach: angielskim, francuskim, czeskim, japońskim lub jakimkolwiek innym. W każdym z nim byłyby zasadniczo trafne, ale też wszędzie — a przede wszystkim właśnie w Polsce — stanowisko to w pewnych wypadkach wymaga modyfikacji lub interpretacji.

Mianowicie wtedy, gdy całą rzecz rozpatrujemy jako konkretne zadanie wychowawcze w stosunku do zupełnie sprecyzowanego narodu i ściśle określonej chwili historycznej. Teza Malewskiej — jest tezą wychowawczą. Jest reakcją na Monte-Cassino i Warszawskie Powstanie, na obronę Warszawy po dniu 17 września 1939 roku i bezsensowne wynaturzenia naszej konspiracji w latach 1939—1944. Tak, jak skłonnemu do kłamstwa chłopcu mówić się będzie: *nigdy nie wolno kłamać*, choć wiadomo, iż w życiu nie zawsze należy i korzystnie jest ujawniać całą prawdę, — tak też i narodowi, w którym wypadki historyczne wykształciły nadmierną skłonność i łatwość szafowania własną krwią — należy powtarzać coś wręcz przeciwnego, ba! może nawet należy świadomie i cynicznie deprecjonować walor ofiary krwi, celowo pomniejszać sens i znaczenie podobnych wyczynów w przeszłości.

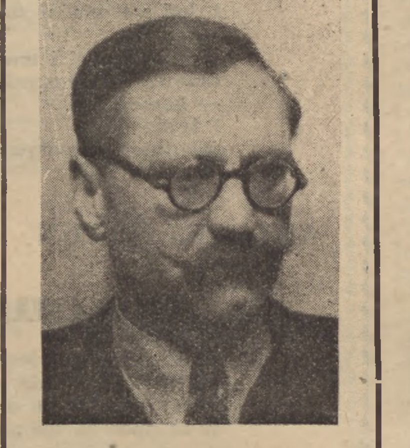
Nie wiem, dlaczego do podobnych wniosków nie doszedł w skomentowanej powyżej dyskusji Aleksander Bocheński. Tym trudniej to zrozumieć, gdyż „Dzieje głupoty w Polsce" są dziełem analogicznym tezie Hanny Malewskiej.

II.

Rozpocząłem od owej dyskusji sprzed miesięcy, gdyż nieporozumienie między Bocheńskim a Malewską jest nader podobne temu, jakie wynikło obecnie między autorem „Dziejów głupoty w Polsce", a większością jego oponentów i krytyków.

Z powodu książki Bocheńskiego wynikło jedno wielkie nieporozumienie. W znacznej części wina obarcza zresztą tutaj samego autora, który najniepotrzebniej w świecie nadał jej formę dzieła naukowego — przekraczając ustanowiony przez siebie konwenans tylko obrazoburczym i namiętnym tytułem. Formalnie „Dzieje głupoty w Polsce" prezentują się jako szereg dyskusji z poszczególnymi historykami i publicystami na temat polityki polskiej od początku panowania Stanisława Augusta po Kongres Wiedeński włącznie. Pozornie chaotyczny wybór dyskutantów, gdzie obok Skałkowskiego, Konopczyńskiego, Górki, Balzera, Szujskiego, Lelewela, Kalinki, Smoleńskiego, Askenazego i innych tej samej klasy uczonych znajdują się Przyborowski, Chołoniewski czy Boromeusz Hoffman — ma swoją logikę i uzasadnienie w oddziaływaniu wszystkich tych pisarzy na społeczeństwo polskie. Bocheński jednych historyków namiętnie zwalcza (Konopczyński, Balzer, Askenazy), innych admiruje, (Skałkowski, Górka, Kalinka) choć i tym nie przepuszcza zdań, które wydają mu się nie do przyjęcia. Wszystko to starannie podzielone na rozdziały, bogato i solidnie zaopatrzone w cytaty — ma czynić pozory pracy naukowej. Tymczasem taką w żadnym wypadku nie jest. Przede wszystkim dlatego, iż w samym tekście historycy znajdują — i pewnie jeszcze znajdować będą — zasadnicze błędy odnośnie dat, nazwisk i sytuacji, co w książce naukowej jest niedopuszczalne. Dalej historycy wytknęli Bocheńskiemu zasadnicze nieznajomości pewnych dokumentów, okoliczności, faktów. Bocheński formą swej pracy upoważnił swych adwersarzy do krytyki przede wszystkim naukowej — i tutaj sprawę przegrał. Nie ma go co bronić, bo to i tak stracona pozycja. „Dzieje głupoty w Polsce" są książką głównie publicystyczną, obliczoną na resonans wychowawczy w społeczeństwie. Jej naukowość jest tylko pewną mistyfikacją, — ze strony autora raczej nieprzezorną. Przypomina ona nieco inną mistyfikację tego rodzaju: Ksawery Pruszyński w przedmowie do „Margrabiego Wielopolskiego" patetycznie zapowiada w niej nową formę bibliografii historycznej, podczas gdy książka jest wyłącznie współczesną publicystyką uzmienkowaną tylko historycznie. Porównanie obu mistyfikacji jest tym ciekawsze, iż dokonali ich dwaj pisarze wyrośli z jednego politycznego pnia: przedwojennej młodzieży konserwatywnej, zgrupowanej koło „Polityki". Ponadto obie pozycje — mimo że autorzy rozdzieleni tysiącem kilometrów, siedzieli w trakcie pisania, jeden w okupowanej Polsce, drugi w emigracyjnym Londynie — wyrażają podobne tezy polityczne: konieczność współpracy z Rosją w szczególnym wypadku, a w ogólnym — konieczność uprawiania przez naród polski polityki tak zwanej realistycznej.

Pół miliona



Hojny starosta

PÓŁ MILIONA ZŁOTYCH NA NAGRODY LITERACKIE ZIEMI NYSKIEJ

Z inicjatywy Starosty Powiatowego W. Karugi i przy współudziale Powiatowej Rady Narodowej w Nysie pod przewodnictwem Ob. St. Zakrzewskiego zebrany został fundusz, który przekazano oddziałowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Nysie celem rozpisania konkursu na dzieło literackie lub naukowe związane tematycznie z Ziemią Nyską. Zgodnie z powyższym Tow. P. N. ogłasza konkurs na pracę literacką o Ziemi Nyskiej wyznaczając kwotę pół miliona złotych na nagrody.

I nagroda	**wynosi**	**250.000 zł.**
II „	**„**	**100.000 „**
III „	**„**	**50.000 „**

oraz 100.000 złotych na nagrody dla dalszych wyróżnionych utworów. Termin składania prac upływa 31 marca 1948 r. Ogłoszenie wyników konkursów nastąpi dnia 3 maja 1948 r., rozdanie nagród dnia 9 maja tegoż roku.

Prace zaopatrzone godłem należy zgłaszać bezimiennie w 3-ch egzemplarzach dołączając zalakowaną kopertę z oznaczeniem godła oraz podaniem tytułu dzieła i nazwiska autora łącznie z adresem wewnątrz koperty. Otwarcie kopert nastąpi po dokonaniu oceny przez jury, którego skład zostanie ogłoszony dodatkowo. Wejdą doń przedstawiciele Zw. Z. Literatów Polskich w Katowicach i Wrocławiu, Instytutu Śląskiego, Tow. Przyjaciół Nauk w Nysie oraz Władz Powiatowych i Miejskich w Nysie. Wszelkich informacji udziela Zarząd T. P. N. Nysa, ul. Sobieskiego 2, Państwowe Gimnazjum i Liceum.

Bocheński Aleksander opowiada się po stronie Stanisława Augusta przeciwko znakomitej większości polskich historyków i historiozofów, oraz przeciwko większości ówczesnego społeczeństwa szlacheckiego. Uważa on, iż w drugiej połowie wieku XVIII zbiegły się równocześnie dwa niekorzystne dla Polski nurty. Państwo nasze było wewnętrznie rozłożone na skutek obowiązującego w Rzeczypospolitej ustroju, zacofanego wobec otaczających nas ustrojów światło-absolutystycznych — to był nurt pierwszy. I nurt drugi: — wzrost, właśnie wskutek posiadania takich właśnie nowoczesnych ustrojów, siły naszych sąsiadów, co stwarzało niekorzystną dla nas międzynarodową sytuację. Znajdując się w takiej sytuacji — obojętne w wieku XVIII czy jakimkolwiek innym, naród polski — czy też jakikolwiek inny — nie powinien rzucać się na oślep przeciw wszystkim, lecz zrezygnowawszy świadomie i dobrowolnie z części suwerenności (szczególnie na odcinku polityki zagranicznej) na rzecz dogodniejszego i mniej niebezpiecznego sąsiada — rozpocząć pracę nad wewnętrznym wzmocnieniem się (owa praca pozytywna, od podstaw, z popowstańczych lat!); przeczekać w sojuszu z silniejszym do zmiany międzynarodowej koniunktury, która pozwoli uzyskać mu wtedy znów należne w rodzinie narodów miejsce. W wypadku Polski wieku osiemnastego — należało stowarzyszyć się z Rosją, jako tym mocarstwem, które — w przeciwieństwie do Prus — zasadniczo było dla całości Rzeczypospolitej mniej groźne i pod opieką Rosji przeczekać do lat najbliższej międzynarodowej koniunktury. Kiedy wypadła by ta zmiana? Bocheński tego nie precyzuje. Jego krytyk z londyńskich „Wiadomości", Wiktor Weintraub uważa, iż dopiero w roku 1818. Wolno sądzić, że jednak wcześniej, gdyż stosując zabawną metodę „co byłoby gdyby" można przypuścić, że w razie istnienia — bądź co bądź — Polski, inaczej by mogły się potoczyć może nie tylko wypadki czasów Napoleona (choć i to nie jest wykluczone), ale w każdym razie dzieje Europy zawarte w okresie 1830—1850. Akurat starczyłoby nam czasu na wewnętrzną naprawę Rzeczypospolitej.

Jak wszyscy publicyści, wywodzący się z grupy „Polityki", Bocheński zwraca przede wszystkim uwagę na politykę międzynarodową i puszcza mimo swej uwagi sprawy społeczne. Tak dla niego, jak i dla Pruszyńskiego, nie waży zupełnie fakt, iż Rosja była carska, zacofana, reakcyjna. Waży tylko to, iż była mocarstwem, z którym sąsiadujący naród słabszy musiał się liczyć. To stanowisko ściągnęło na głowy obu tych pisarzy gromy ze strony publicystów marksistowskich, którzy znów nader starannie oddzielają Rosję obecną od ówczesnej i którzy całkowicie afirmują walkę zbrojną — pod każdą postacią — z caratem. Wpadają w tym wypadku zresztą w sytuację bardzo interesującą i zawiłą, gdyż będąc dzisiaj wyrazicielami polityki realnej w pełnym tego słowa znaczeniu, i zasługując sobie tym samym, być może, stopniu na wspaniałe pomniki zarówno w marmurze jak i na kartach przyszłej historii polskiej, — równocześnie nie chcą nawiązać do wyrazicieli tej polityki w przeszłości; przeciwnie nawiązują do ludzi i spraw, będących demonstracyjnym wprost zaprzeczeniem takiego właśnie rozsądnego postępowania. Ale to uwaga tylko marginesowa.

Teza, jaką w książce swej postuluje Bocheński — była linią polityki Stanisława Augusta i dlatego wszelkie pomawianie Bocheńskiego o ahistoryczność jest błędne. W XVIII wieku byli mężowie stanu, którzy jasno widzieli plusy i minusy sytuacji politycznej, a więc — jeśli było ich paru, były warunki, by mogło być ich więcej. Podobne rozważania w stosunku do przeszłości są mało płodne, bo mogło, ale nie było i nikt na to nic dziś nie poradzi; a najmniej zawinili tu historycy, którzy — jak najwcześniejszy z nich Lelewel — pisali swe prace w bezmała pół wieku potem. Nie oni więc zawinili temu, że społeczeństwo nie szło za Stanisławem Augustem, choć pasja, z jaką atakuje Bocheński tych historyków — za wykazany przez nich brak zrozumienia dla polityki Stanisława Augusta, budzi mało poważne podejrzenie, iż autor „Głupoty" *ich* właśnie obciąża winą za klęskę.

Oczywiście podejrzenie tego rodzaju jest absurdem i wytykanie go — jak ktoś bodajże zrobił — Bocheńskiemu jest absurdem nie mniejszym. Bocheński nie dlatego zwalcza tak gorąco prace historyków polskich, posuwając się aż do zgoła obraźliwej klasyfikacji, że mogli oni mieć wpływy przeszłościowe, — tylko dlatego, że działają oni wychowawczo na swych rówieśnych i potomnych. I wobec tego swymi potępieniami polityki Stanisława Augusta umacniają otaczające i czytające ich społeczeństwo polskie, w przeświadczeniu, iż przeciwnicy króla mieli rację, a więc, że w przyszłości czy teraźniejszości naród polski winien postępować po myśli zasad, jakimi kierowali się królewscy 'opozycjoniści.

Krótko: Bocheński, obserwując w latach ostatniej okupacji klęski naszego narodu, winą za takie postępowanie obarczył naszych historyków, a raz obarczywszy rozpoczął kontrakcję wychowawczą. „Dzieje głupoty w Polsce" — wraz ze swoim namiętnym, a ze względów taktyczno-wychowawczych fatalnie dobranym tytułem — są pierwszym publicystycznym narzędziem takiej akcji.

(Mała uwaga. Nie należy prostacko utożsamiać koncepcji wychowawczej Bocheńskiego z jakąś aktualną tezą polityczną, jak czynią to jego czytelnicy wśród „nieprzejednanej" emigracji. Bocheński książkę swą napisał już dawno temu i, pisząc, nie miał prawdopodobnie wcale na myśli obecnych stosunków polsko-rosyjskich. Polityczna aktualność tej książki — jest tylko zbiegiem okoliczności, który zresztą dałoby się łatwo wytłumaczyć, ale nie miejsce teraz na to).

Dlatego błędem jest ustawianie tej książki na półce wśród prac historycznych, naukowych. Błędne też osądzanie jej pod kątem osiągnięć czy rzetelności naukowej. Jest to książka publicystyczna, wyraźnie mająca na oku pewien konkretny cel wychowawczy: zmianę politycznej mentalności narodu polskiego. Cel ten Bocheński realizuje zresztą równie krańcowo i drastycznie, jak zrobiła to w dyskusji nad „Monte Cassino" Malewska. Właściwym podejściem do książki „Dzieje głupoty w Polsce" będzie odpowiedź na pytanie: czy praca Bocheńskiego może osiągnąć swój cel wychowawczy? Albo — czy dobrze może dopomóc do osiągnięcia tego celu?

III.

W Londynie, w zimie 1941, Ksawery Pruszyński napisał artykuł, który przeznaczony początkowo dla „Polski walczącej", ze względu na drastyczne zdania, jakie mogłyby zostać uznane za obrazę jednego z współrządzących podówczas stronnictw politycznych — nigdy światła druku nie ujrzał. Fragmenty tego artykułu czytał mi Tymon Terlecki. W tych fragmentach, Pruszyński konstruował tezę bardzo ciekawą. Spróbuję ją streścić w paru słowach. Przypominam —

(Dokończenie na str. 7)

STANISŁAW TELEGA

Reportaż

»Conrad« żaglowiec

BRYZA!

DZIEŃ jest czysty, nie splamiony najmniejszą chmurką i błękitny nad podziw. Po prostu od wschodu do zachodu słońca jeden wielki łuk błękitu, napięty słońcem i niebieskim powietrzem. Od paru dni, nie, od dwóch prawie tygodni, trwa już ta niebieska pogoda. Dzień po dniu otwiera się niebo jak wielka niebieska muszla i zamyka się późno, zwolna dogasającymi wieczorami.

A jednak żeglarze szczecińskiego jachtklubu „Gryf" nie są zadowoleni. Patrzą na ten bezmiar rozpylonej nad nimi niebieskości, kręcą głowami i niespokojnie patrzą na nieruchome wierzchołki drzew. Owszem, błękit nieba to piękna rzecz dla żeglarza, ale nie najważniejsza. **Wiatr, wiatr** — oto całe zmartwienie. Wiatr, który jest skrzydłem dla jachtu, a którego brak zamienia jacht w bezwolnie pełzającego po wodzie żuka, w martwe pudło rzucone bezsilnie na gładką toń wody.

Nie można jednak powiedzieć, ażeby w te bezwietrzne i napęczniałe od błękitu dnie na przystani „Gryfu" było pusto. Przeciwnie, dzień w dzień panuje tu ożywiony ruch, kręcą się — jak w ukropie starzy i młodzi żeglarze, przeciągają szkoty żaglowe na masztach, przetaczają na obrotowych szynach coraz to nowe wraki jachtów, malują burty, ćwiczą się w naciąganiu żagli, wyjeżdżają na jolkach, a nawet jachtach na małe wyprawy wzdłuż nabrzeża „Huk" i „Ucho", jednym słowem praca wre.

Ale w tym dniu, właśnie w tym dniu, kiedy czuby drzew zwichrzyły się silniej niż zwykle pod wypalonym od słońca niebem, w basenie jachtowym „Gryfu" zawrzało. Padło wielkie dla żeglarzy słowo: bryza! Bryza to słowo, oznaczające w świecie żeglarskim



W porcie szczecińskim

dłuższy, stały wiatr od lądu. To słowo uskrzydliło nie tylko jachty, ale przede wszystkim ludzi. Rozumiało się więc samo przez się, że duma i chluba „Gryfu", piękny jacht „Conrad" wyruszy na nowy rejs.

W PRZYSTANI JACHTOWEJ

Nie był to pierwszy rejs „Conrada". Ten piękny jacht ma już za sobą niejedną wyprawę. Co więcej, zasłynął w szczecińskim świecie żeglarskim z tego, że ustanowił rekord trasy na Zalewie Szczecińskim, przebywając odległość 22 km w ciągu półtorej godziny.

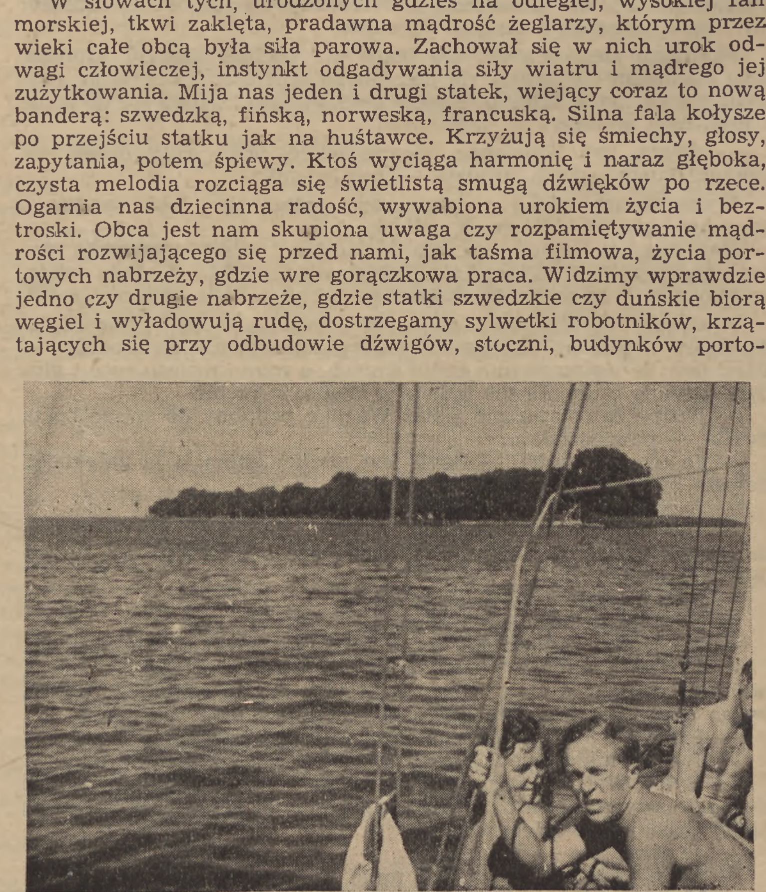
Przystań „Gryfu" znajduje się na Golęcinie. Dojazd do niej jest zasadniczo łatwy, chociaż nieco uciążliwy. Jedzie się bowiem ze śródmieścia Szczecina aż trzema tramwajami, przy czym między „5" i „6" trzeba jeszcze przejść kawałek drogi piechotą. Sama przystań mieści się tuż obok dużego parku, w którym znajduje się okazały budynek dawnej kawiarni portowej. Jeszcze w kwietniu br. budynek ten przedstawiał rozpaczliwy wygląd. Dziś budynek ten jest już niemal całkowicie odremontowany i gotowy na pomieszczenie dla jachtklubu. Jest tu miejsce i na salę teatralną i na zabawy czy koncerty, przede wszystkim zaś na przechowywanie wszelkiego rodzaju sprzętu żeglarskiego. Wzdłuż parku, dochodzącego do samej Odry, przebiega efektowna sieć iluminacji elektrycznej. Oto miejsce, które zwłaszcza wieczorem, w świetle świateł i muzyki, nadaje białym żaglom jachtów oraz przepływającym obok statkom, wymarzone, czarujące tło. W ubiegłym roku było tu jeszcze głucho i pusto, mimo że sprzętu żeglarskiego nie brakowało. Niestety, główny dysponent taboru żeglarskiego, Urząd Wychowania Fizycznego, nie umiał zatroszczyć się należycie i zaopiekować zarówno cennym materiałem jak i samą sprawą żeglarstwa. Poważna przeszkoda, hamująca rozwój tego pięknego sportu, była też niedostateczna aktywizacja portu w ubiegłym roku. Nic też dziwnego, że wówczas życie żeglarskie w Szczecinie prawie że nie istniało. Zaczęło się ono na dobre dopiero z wiosną tego roku. Stworzył je niezwykły zapał i praca entuzjastów morza i sportu żeglarskiego, często nawet wybitnych marynarzy i żeglarzy. Dzięki nim rozwinęła się szybko nie tylko „Liga Morska", ale też różne jachtkluby, z których najwybitniejszym jest jachtklub „Gryf". Ten właśnie jachtklub posiada już nie tylko duży, wyremontowany własnym wysiłkiem tabor żeglarski, ale także, dzięki stałym kursom, duży zastęp młodych żeglarzy. Godną podkreślenia jest zasadnicza koncepcja „Gryfu", ażeby sport żeglarski, niegdyś tak elitarny, uczynić **sportem dla mas.**

NASZ REJS DO WYSPY NAWIGACYJNEJ

O piątej po południu jesteśmy już wszyscy na miejscu. Na redzie kołysze się majestatycznie „Conrad", wystrzelając w niebo wyniosłym masztem. Po Odrze śmigają zgrabne, małe jolki z niewielkimi żaglami, przepływają co jakiś czas parowce, powiewając zagranicznymi banderami lub z szumem i pośpiechem przemyka motorówka, pozostawiając zą sobą srebrne skiby fal.

Przez trap wchodzimy na pokład jeszcze z jakąś lądową pewnością siebie. Ale gdy padają pierwsze, ostre słowa komendy kapitana jachtu: — grot staw! fok staw! — i nagle w górę wystrzelają żagle, jak skrzydła zrywającego się do lotu ptaka, czujemy się z początku trochę nijako wobec młodej załogi, która sprawnie przekłada te słowa komendy na skomplikowaną, im tylko zrozumiałą mowę manewrowania linami. Jacht podrywa się i ostro idzie ukosem do przeciwległego brzegu. Płyniemy przy dobrej bryzie i rejs zapowiada się dobrze. Co jakiś czas pada komenda, jacht zmienia kurs, omija przepływające olbrzymy parowe i mknie jak na skrzydłach. Ze słów komendy chwytam coraz to nowe zwroty, niezbyt dla mnie zrozumiałe. Oto padły właśnie: — Grota szkoty luz! — Prawa topinanta wybrać!

W słowach tych, urodzonych gdzieś na odległej, wysokiej fali morskiej, tkwi zaklęta, pradawna mądrość żeglarzy, którym przez wieki całe obcą była siła parowa. Zachował się w nich urok odwagi człowieczej, instynkt odgadywania siły wiatru i mądrego jej zużytkowania. Mija nas jeden i drugi statek, wiejący coraz to nową banderą: szwedzką, fińską, norweską, francuską. Silna fala kołysze po przejściu statku jak na huśtawce. Krzyżują się śmiechy, głosy, zapytania, potem śpiewy. Ktoś wyciąga harmonię i naraz głęboka, czysta melodia rozciąga się świetlistą smugą dźwięków po rzece. Ogarnia nas dziecinna radość, wywabiona urokiem życia i beztroski. Obca jest nam skupiona uwaga czy rozpamiętywanie mądrości rozwijającego się przed nami, jak taśma filmowa, życia portowych nabrzeży, gdzie wre gorączkowa praca. Widzimy wprawdzie jedno czy drugie nabrzeże, gdzie statki szwedzkie czy duńskie biorą węgiel i wyładowują rudę, dostrzegamy sylwetki robotników, krzątających się przy odbudowie dźwigów, stoczni, budynków portowych, przebiega nas przez chwilę dreszcz wzruszenia, gdy wyłania się przed nami wspaniały krajobraz huty stołczyńskiej, z jej biało dymiącymi kominami i gęstwą konstrukcyj żelaznych, ale wszystko to prześlizguje się jakby obok nas, nieważnie.



. . . przed nami Wyspa Nawigacyjna

Jesteśmy pod urzekającą siłą żywiołu wody, słońca, powietrza, pędu. Chcemy tylko płynąć, brać w siebie życiodajną siłę słońca i czystego jak niebo powietrza. Na rzekę leje się żywe srebro słońca, kępy przybrzeżnych drzew rzucają długie, wieczorne cienie daleko w głąb wody. Za hutą Stołczyn krajobraz poszerza się, system odnóg, przekopów i wysepek powiększa się i komplikuje. Wiatr marszczy wodę, trzepocą żagle. Nad nami przelatują, jak srebrne cętki, mewy. Jacht pruje wodę cicho, niemal bezszelestnie.

MIĘDZY WODĄ A NIEBEM

Koło Polic jest jeszcze jasno, ale już zwolna rozsypuje się zmierzch wieczorny. Czy widzieliście zachód słońca na morzu? Nie ma tu jeszcze morza, ale ta oślepiająca na rozedrganych falach smuga żywego srebra, ta orgia odprysków świetlnych, jakby kto rozbił nad rzeką żywą banię z kolorami — przypomina niedalekie morze. Nie można wprost oderwać oczu od rzeki, w każdym miejscu jest inna, z każdą chwilą jest inna. Można patrzeć i patrzeć, w jakimś bezwolnym zapamiętaniu się, w najgłębszej, wewnętrznej ciszy.

Gdzieś za Duchowem, u wejścia do Stobnickiej Zatoki, chwyta nas noc. Ale nie jest to noc lądowa. Jest niby mrok, a przecież woda, przesycona niewidocznym już słońcem, gra nadal barwami, różowi się i fosforyzuje. Jacht płynie wolniej, ze względu na mrok i zmniejszenie się siły wiatru. Kapitan martwi się. Ach, kapitanie! Po co nam pośpiech? To lądowe uczucie. To tam się ludzie śpieszą, niepokoją, oczekują czegoś, zazdroszczą sobie, gryzą się i martwią. Tu jest spokój, radość, zapomnienie. Tego właśnie pragniemy, po to wyruszyliśmy na daleki rejs.

Wynurzają się pierwsze gwiazdy. Wciągamy cieplejsze ubrania, kładziemy się na pokładzie, nikomu nie spieszy się do dusznych kubryków. Co chwilę padają czujne słowa komendy, szukającej dobrej drogi po farwaterze. Młody chłopiec stojący na oku jachtu zapuszcza sondę i odkrzykuje kapitanowi głębokość rzeki. Wreszcie zapada zupełna ciemność i trzeba przystanąć. Kapitan jest ostrożny, nie chce wjechać na mieliznę. Zapuszczamy kotwicę i „Conrad" nieruchomieje. Nie ma rady, trzeba iść spać. Jak tu jednak spać, kiedy nad nami wiszą gwiazdy, a noc, jak wielki, ciemny żagiel utula nas najdziwniejszą z cisz. Tylko nieliczni idą do kubryka, reszta rozbija się na grupki, prowadząc niekończące się rozmowy. Niedaleko mnie lokuje się młoda obsługa jachtu. To najwięksi zapaleńcy sportu jachtowego, młode „sea rats". Znają już dobrze swoje rzemiosło. W zeszłym roku wydobyli ten jacht gdzieś spod Świnoujścia, wyremontowali własnymi siłami, poświęcili każdą wolną chwilę tej pracy. Nie oni jedni zresztą wydzierali pazurami z dna rzeki ten czy ów jacht, stanowiący dziś dumę „Gryfu". To samo czynił ich kapitan, stary, doświadczony żeglarz ze szkoły gen. Zaruskiego, twórcy polskiego jachtingu, to samo robili wszyscy, którzy założyli tu już kilka klubów żeglarskich. Dzięki tym właśnie ludziom jachting szczeciński już istnieje i stanie się kiedyś tak popularnym i tak specyficznym dla Szczecina sportem, jak jest nim dziś np. piłka nożna w którymkolwiek innym mieście.

Białe żagle, którymi dziś uskrzydla się Odra, dodają Szczecinowi nowego uroku, są wstępem do wielkiej miłości morza. O miasto, najdziwniejsze z miast! Najpierw urzekł nas **przepych twej zieleni i kwiatów.** Zieleni, przepływającej ogrodami i parkami, wijącej się wzdłuż każdej alei, szosy, drogi, zaglądającej do każdego domu na Głębokim, na Pogodnie, Niebuszewie. Potem urzekła nas twoje **historyczność,** wyrastająca ze starych szlaków dziejowych, z legend słowiańskich, odgrzebanych z nalotów niemczyzny, otwierająca drogę ku sercu starymi zabytkami Zamku Piastowskiego, kościołów, stawianych przez polskich książąt, postaciami Kazków Szczecińskich, Bogusławów X, Słowińców z nad Łaby.

A potem była **radość odbudowy.** Wyrastał w oczach port, pracować zaczynały huty, fabryki, zaroiły się nabrzeża od statków, mosty przerzucały ruch ludzki z jednych dzielnic do drugich, poawswtały uczelnie, teatry, szkoły.

A teraz nowy Szczecin, **Szczecin żeglarski,** wypływa pod białymi płótnami na morze, nabiera mocy ramion i płuc. O miasto, najdziwniejsze z miast. Tej odkrywczej i twórczej radości nie wiele



Na brzegu szczecińskim

z miast daje człowiekowi nowej Polski. Gdzie indziej wszystko jest z góry **ustalone,** gotowe, nie dziwi, nie wyzwalało tak energii. Tu wszystko narastało od nowa, budowało się od podstaw, **odkrywało** w swej jedynej niepowtarzalności. Może kiedyś dla innych, dla **tych drugich** Szczecin będzie to takim samym miastem jak dziś Kraków czy Łódź, ale dla nas, dla **pierwszych ludzi Szczecina,** wszystko jest tu przeżyciem, wszystko jest fragmentem wielkiej epopei nowego życia, wszystko jest **pierwsze.**

PRZED NAMI WYSPA NAWIGACYJNA

O pierwszym świcie wstajemy. Widok jest fascynujący. Mgły grają w słońcu. Z daleka huczy ostrzegawczy głos syreny statku, szukającego wśród mgieł drogi. Co chwilę skacze ktoś do wody, aby wziąć orzeźwiającą kąpiel. Harmonista wyprawia cuda na swym instrumencie. Żagle wytryskują ku słońcu. Płyniemy przy dobrej bryzie, ale wolno, ze względu na opadającą powoli mgłę. Słońce tańczy na falach rozmieniając się fantastycznymi blaskami. Z wysokich latarni rzecznych, znaczących drogę okrętom, rozpryskuje się białe stado mew. Zmieniamy raz po raz kierunek, aby nabrać większego pędu. Mgły opadły niespodziewanie szybko i droga wodna jest wyraźna. Po lewej stronie rzeki narastają coraz wyraźniej dachy wioski rybackiej, Trzebieży, naprzeciw zaś wyłania się, jak wielki, ciemnozielony klomb, Wyspa Nawigacyjna.

Jeszcze tylko trzy duże zakręty i jesteśmy przy niej. Wyspa jest pusta, niezamieszkała. I przed wojną ludzi tu prawie że nie było, gdyż służyła ona wyłącznie dla celów nawigacyjno-wojskowych. Cumujemy sprawnie i zaraz rzucamy się do rozpalania ogniska, aby przygotować śniadanie, względnie obiad. Ktoś konkwistadorskim gestem „obejmuje" pustą wyspę w swoje władanie i nazywa swoim nazwiskiem. Słońce praży, można więc użyć kąpieli. Z wysokiej latarni widać jak na dłoni szeroką roztocz Zalewu Szczecińskiego. Doskonały wiatr znęcił widocznie nie tylko nas na Zalew, ale też innych amatorów sportu żeglarskiego, bo na Zalewie wykwitają wszędzie białe żagielki jolek, a nawet kilku małych jachtów.

Nie zwlekamy więc i my i zaraz po obiedzie rzucamy się do „Conrada", aby poharcować po Zalewie. Bryza jest wspaniała, więc nasz kapitan wyczynia cuda z jachtem. „Conrad" mknie jak strzała po falach, chwilami zaś przy zwrotach kładzie się niemal żaglami na wodzie. Jacht jest jednak jak „wańka-wstańka", która się nigdy nie wywraca i nie tonie. Radość pędu ogarnia także nasze piękne panie. Oto jedna z nich staje na dziobie, gdzie się najżywiej i często najniebezpieczniej odczuwa pęd jachtu z rozkoszą poddaje się zawrotnemu rytmowi jazdy „Conrada". Wiatr, fale, pęd, słońce, rozsypane w miliardach srebrnych łusek, białe plamy żagli, kadłuby przepływających statków i niebo czyste, jakby wymyte morską, niebieską falą — oto „uroda życia" żeglarskiego. Kto raz tego życia zakosztował, wróci do niego na pewno.

Późnym wieczorem wracamy. Nie spieszymy się. Chłoniemy radość każdej słonecznej chwili, poddajemy się urokowi ciszy, zakotwiczonej w nadbrzeżnych kępach i patrzymy, patrzymy bez przerwy na tę nową „wierną rzekę" Polski, na którą wypłynęły żagle naszej nowej młodości historycznej. Mrok zapada i rzeka fosforyzuje dziwnym, przytłumionym światłem. Miasto wyłania się ku nam jak odbity w legendach morskich bajeczny krajobraz.

I gdy już przestępujemy trap jachtu, aby dotknąć lądu, uświadamiamy sobie nagle, że odtąd nawiedzać nas będą we śnie białe żagle jachtów, łopocących jak skrzydła mew na rozpostartym błękicie nieba.

Stanisław Telega

Łuk triumfalny

Emigracja*) niemiecka należy do ciekawych zjawisk czasu wojny. Jako „emigracja" i jako „niemiecka". Niemców-hitlerowców znaliśmy nadto dobrze. Co więcej, nie znaliśmy Niemców, którzy by hitlerowcami nie byli. Codzienne z nimi spotkania narzucały synonimiczność pojęcia „Niemiec" i „hitlerowiec". Inni, lepsi Niemcy byli podobno tylko na emigracji, która z odległości wydawała się tym bardziej sympatyczna, im była mniej liczna.

Emigracja niemiecka przestała istnieć (dzisiejszej bowiem, która zmieniła podstawy ideologiczne pod uwagę brać nie można) i przestał istnieć tym samym problem emigracji. Pozostawił on jednak ślad w postaci pewnego zainteresowania, które wystarczy, aby wziąć do ręki książkę Remarque'a „Łuk Triumfalny".

Remarque ma u nas, po popularnej swego czasu powieści „Na Zachodzie bez zmian" wyrobioną opinię dobrego pisarza. Ponowne pojawienie się jego nazwiska na półce księgarskiej staje się dzisiaj zjawiskiem o tyle frapującym, o ile był on jednym z owych, nielicznych tzw. „porządnych" Niemców, którzy czasy najgorszego upadku moralnego swojego narodu przeżyli na wygnaniu.

Powieść Remarque'a była w krótkich zapowiedziach i notatkach reklamowana jako rzecz o emigracji. I tu właśnie spotyka nas pierwsze rozczarowanie. „Łuk Triumfalny" to nie powieść o całej emigracji, ale o jednym emigrancie. Jedynie bowiem dr Rawik stoi w zasięgu uwagi autorskiej, inni Niemcy czy Żydzi niemieccy przewijają się od czasu do czasu na linii odległego horyzontu, nie służąc nawet zo tło wydarzeń. Pojawiają się w powieści narzuceni nakazem prawdopodobieństwa: Rawik nie mógł być jedynym Niemcem w hotelu „International", zamieszkałym przez samych prawie uchodźców. Są oni zatem statystami, nawet dla fabuły całkowicie obojętnymi. Samotność Rawika wynika wprawdzie z przyczyn politycznych, ale wiedzie do rozważań quasi-psychologicznych. Tak np. miłość do Joanny jest tu jakąś funkcją samotności i chęci jej przezwyciężenia. Mimo to nie nazwałbym „Łuku Triumfalnego" powieścią psychologiczną. Jest to raczej romans oscylujący szczęśliwie między tandetną



Wielcy poeci niemieccy wracają z emigracji. Goethe do Schillera: Czy nie sądzisz, że dawny drogowskaz wskazywał lepszą przyszłość?

Rys. Zd. Guth-Dobrowsky

Fakt ten oddala problematykę utworu od sprawy Niemiec, emigracji i faszyzmu. Rawik obchodzi autora nie jako emigrant niemiecki, ale jako człowiek samotny w cieniu Łuku Triumfalnego, co wyraża się nawet tytułem powieści. chęcią zainteresowania perypetiami bohaterów a poczuciem dobrego smaku, które uchroniło autora od zbyt ogranych chwytów. Kilkanaście błyskotliwych zdań, filozoficznie ustylizowanych, tyleż ciekawych sytuacji nie pokryje mimo wszystko pustki psychologicznej utworu.

Remarque w „Łuku Triumfalnym" nie jest artystą, ale rutyniarzem. Zna rzemiosło i wie jak pisać interesującą powieść.

Konkretne trudności wybranego tematu zmusiły autora do szukania pomysłowych rozwiązań. Tak np doskonale poradził on sobie z trudnym zagadnieniem, które można by zatytułować „Samotny człowiek w wielkim Paryżu". Trudność polegała na tym, że autor musiał wyprowadzić swego bohatera na gwarną ulicę, jeśli nie chciał komplikować sprawy zamknięciem go np. w pokoju hotelowym. Remarque wyszedł tu obronną ręką, przeciągając linię narracji niemal wyłącznie między hotelami, domami publicznymi i szpitalem, a więc miejscami, gdzie człowiek mimo otaczającego go tłumu pozostaje samotny.

Ta stałość miejsc akcji groziła powieści osłabieniem dynamiki. Pisarz-rzemieślnik zapobiegł temu w ten sposób, że nadał swemu utworowi konstrukcję drobnych epizodów, zmieniając stale, ze stronicy na stronicę, osoby i miejsce, zastępując np. Morozowa Joanną, hotel szpitalem lub domem publicznym. Ta nadmierna ruchliwość bohatera nie jest pozbawiona uzasadnienia: Rawik, przesiadujący po lokalach, Rawik — alkoholik jako człowiek wyrzucony poza krąg swego narodowego społeczeństwa tak właśnie powinien postępować.

Każdy rozdział czy ustęp rozpoczyna autor jakimś, elektryzującym wydarzeniem. Albo niespodziewanie przyszła Joanna, albo [illegible] wypadku. Ta technika sprawia, że powieść czyta się ze stale odnawianym zainteresowaniem.

Rzemiosło Remarque'a jest niewątpliwie dobrego gatunku. Zwróćmy uwagę na taki szczegół, jak wybór zawodu dla swego bohatera. Nie jest rzeczą bez znaczenia, że Rawik jest lekarzem. [illegible] Rawik jako chirurg musi przeprowadzić kilka operacji, ale sceny te napisane są tak, że potrafią zainteresować każdego laika.

[illegible]

„Łuk Triumfalny" w całości robi wrażenie powieści, napisanej [illegible] Remarque znalazł się osobiście w nowej i ciekawej sytuacji życiowej [illegible] postawił literacki pomnik. Ten fakt zdaje się wyjaśnić, dlaczego „Łuk Triumfalny" jest *tylko* dobrze napisaną powieścią.

Od analizy formalnej jest dla nas o wiele bardziej interesująca kwestia niemiecka i kwestia faszystowska w tej książce. Wybór tematu i stanowisko autora w świecie literackim zobowiązywało zajęcia czynnej postawy wobec tych zagadnień. Tymczasem powieść zieje pustką tak psychologiczną, jak ideologiczną. Rawik nienawidzi hitlerowców, ponieważ jemu i jego bliskim wyrządzili krzywdę. Widzi w nich zbrodniarzy, ale nie dostrzega związków przyczynowo-skutkowych między ideologią i narodem z jednej strony a samą zbrodnią z drugiej. Jego spojrzenie na Niemcy zabarwione jest wspomnieniami tortur w więzieniu śledczym i obozie koncentracyjnym, pozbawione jest natomiast świadomej analizy faktów. Śmiem twierdzić, że gdyby nie przypadek, który zaprowadził go do więzienia, Rawik byłby lojalnym obywatelem III Rzeszy. Rawik nie przeciwstawił się wewnętrznie idei faszyzmu, ponieważ sam cierpi na bezideowość. To niedostrzeganie antyhumanistycznego sensu faszyzmu, w długości historycznej, wypływa z apolityczności Rawika, typowej dla epoki zmierzchu kapitalistyczno-mieszczańskiej cywilizacji. Dostać w ręce swoich prześladowców — oto co jest sensem jego życia, natomiast co się stanie z Niemcami i ze światem, kto nim będzie rządził, to jest Rawikowi dość obojętne, pod warunkiem, że posiędzie on gwarancję bezpieczeństwa i używania życia.

Mówiłem stale „Rawik", ale mógłbym powiedzieć „Remarque". Nie mam zamiaru identyfikować losów bohatera z losami autora, jednak zarzuty, postawione Rawikowi, świadomie adresuję do Remarque'a. Upoważnia mnie do tego stosunek solidaryzacji autora do jakiegoś antyhitlerowskiego ruchu emigracyjnego, który niewąt- [illegible]

Wartość „Łuku Triumfalnego" [illegible] powieść Remarque'a może być dla czytelnika europejskiego cennym materiałem przyczynkarskim dla poznania Niemiec i Niemców [illegible]

Jerzy Ziomek

*) Erich Maria Remarque, *Łuk Triumfalny*. Warszawa 1946. Sp. Wyd. „Wiedza".

»Dzieje głupoty w Polsce«

(Dokończenie ze str. 6)

artykuł pisany był w zimie 1940/41 roku.

Pruszyński zastanawiał się nad różnicami w mentalności Polaków i Czechów, które tak bardzo utrudniają dziś wszelkie rozmowy polityczne, gdyż dyktują nie tylko odmienne metody działania, ale wręcz stwarzają odmienne cele. Zastanawiając się nad tym uznał, iż odrębna mentalność dwóch sąsiadujących ze sobą narodów słowiańskich ma źródło w tym, iż od czasów klęski pod Białą Górą, to jest od roku 1620, kiedy Czesi utracili całą swą szlachtę — dominującą warstwą w narodzie stało się mieszczaństwo i chłopstwo. Warstwy te przechowały wierność swemu narodowi przez trzysta lat — co zresztą w monarchii Habsburskiej nie było trudne, — ale równocześnie w psychice ich dominowały przede wszystkiem cechy kupieckie, pierwiastki wyrachowania handlowego, lub tak zwany chłopski rozsądek. One to — odpowiednio uintensywnione udziałem Czechów w rozwijającej się światowej gospodarce kapitalistycznej — nie tylko, że uchroniły naród czeski przed zabójczymi wystąpieniami powstańczymi, ale ponadto położyły podwaliny pod ich rozsądek polityczny. Dalej rozmyślił Pruszyński: w rezultacie eksterminacyjnej akcji niemieckiej należy oczekiwać znacznego liczbowego zmniejszenia się w Polsce warstwy inteligencko-poszlacheckiej i wysunięcia się na czoło naszego narodu mieszczaństwa, proletariatu i chłopstwa. To pociągnie za sobą zmiany w psychice narodowej polskiej — zmiany upodabniające naszą mentalność do mentalności czeskiej.

Tyle Pruszyński. Wypada uwagę jego rozszerzyć i stwierdzić, że społeczeństwa znane ze swego realistycznego ustosunkowania się do problemów politycznych — jak Czesi, Anglicy, Szwajcarzy, Skandynawowie, — są społeczeństwami, które w historii swej przeszły przez silny i długotrwały okres „kupiectwa" — jeśli można użyć nieco symplifikującego określenia — jakie swój punkt szczytowy znalazło w intensywnym i pełnym rozwoju kapitalizmu. Na bazie wyrachowania kupiecko-kapitalistycznego zrodziło się wyrachowanie polityczne. Polityka, przemysł i handel u wszystkich narodów mieszały się silnie ze sobą; nadal zresztą zjawisko to występuje w Stanach Zjednoczonych. Nam historia niestety poskąpiła pełnego rozwoju kapitalistycznego w własnym państwie. W okresie, gdy inni myśleli przede wszystkim o pieniądzach — my myśleliśmy przede wszystkim o ojczyźnie. Do dnia dzisiejszego minister angielski używa słów, których nie wymawiał ani Skarżyński, ani Zaleski, ani Beck, ani nie wymawia ich Modzelewski; minister angielski zwykł mówić „*płatnik* angielski nie chce *dopłacać* do tego czy tamtego . . ." Czech, Szwajcar, Szwed też przerachowywuje politykę na złoto i materialne korzyści. I ma oczywiście świętą rację, gdyż tylko po to prowadzi się pewną grę polityczną, żeby ludzie byli szczęśliwsi, a będą wtedy szczęśliwi, jak będą mieli spokój i wygodne, sute życie.

Bocheński swą książkę zaopatrzył w znak ostrzegawczy: „*Tylko dla tych, którzy mają ambicję lub okazję myślą lub czynem wpłynąć na losy zbiorowiska naszego*". Zdaniem tym podkreśla autor istniejący w rzeczywistości podział na masę społeczną i grupę kierowniczą, „polityków". Od tych Bocheński wymaga realistycznego myślenia politycznego.

Bądźmy jednak szczerzy — ludzi z elity politycznej, którzy już sami czują pewien „realistyczny niepokój" o losy naszego społeczeństwa, książka Bocheńskiego, jako rzecz gruntowna, bardzo ciekawa i dobrze napisana — utwierdzi w ich stanowisku, czy w obranej linii działania. Książka ta jednak nie potrafi wywołać w masach psychicznej rewolucji. Po pierwsze dlatego, iż tak jak jest napisana — nie trafi do szerszych kół czytelniczych, w przeciwieństwie na przykład do „Spraw Polaków", które były pisane pod kątem odbiorcy masowego, nie przybierały żadnej formy naukowej. Po drugie dlatego — że żadna książka, żadna wypowiedź teoretyczna, nie zmieni mentalności narodu. Mentalność ta może się zmienić pod wpływem długotrwałych klęsk lub zwycięstw politycznych, które oddziaływują bezpośrednio na każdego obywatela degradacją lub awansem jego stopy materialnej i stylu jego życia kulturalnego czy umysłowego. Kapitalizm wykształcił w mentalności społeczeństw realistyczny, handlowy sposób myślenia i politykowania. Pechem historycznym naszego narodu jest to, że odczuwając coraz bardziej konieczność myślenia realistycznego, równocześnie — przepuściwszy okres kapitalizmu — weszliśmy od razu w tę fazę ewolucji społecznej, która dążąc do socjalizmu, wymaga od ludzi bardzo społecznej, bardzo altruistycznej postawy życiowej. Czy na takiej bazie może się w ogóle wykształcić realizm polityczny myślenia i działania? Przyszłość okaże. Osobiście jestem raczej sceptykiem. Socjalizm wymaga od ludzi wysokiej ideowości, a ideowość na zbyt górny nastawiona diapazon chyba raczej nie sprzyja politycznemu wyrachowaniu.

„Margrabia Wielopolski" sprowokował jedną kapitalną wypowiedź. Wojciecha Kętrzyńskiego, który zauważył nader słusznie, iż tylko wtedy każda polityka, a więc i „realną" zwana, może liczyć na istotny sukces, jeśli w swym ogólnym duchu jest ona zgodna z psychiką narodu, którego przywódcy chcą ją uprawiać. Innymi słowy: tylko wtedy polityka realizmu politycznego może stać się owocną, jeśli nie jest ona indywidualnymi ekscentrycznym wybrykiem poszczególnego męża stanu (jak to było z Wielopolskim), ale gdy jest ona wyrazem przekonań, uczuć i atmosfery psychicznej całego narodu. — Ważnym jest, by pewne rzeczy zrozumieli ci, „*którzy mają okazję myślą lub czynem wpłynąć na losy zbiorowiska naszego*" — ale stokroć ważniejsze, bodaj warunek sine qua non! — by pożądane zmiany zaszły w psychice całego społeczeństwa polskiego.

Jak się rzekło — nie łudźmy się zbytno, by „Dzieje Głupoty w Polsce" bardzo się tej zmianie przyczyniły.

IV.

Nie mniej nie znaczy to wcale, by zaniechać jakiejkolwiek propagandy czy akcji wychowawczej w kierunku przez Bocheńskiego pożądanym. Nie należy tego omieszkać — choćby nawet pozornie było to beznadziejne — gdyż tak dziwnie jest skonstruowana historia ludzi i narodów, iż nigdy nie wiadomo, czy w jakiejś chwili nie zajdą okoliczności, które działalność teoretyczną uwieńczą pożądanym skutkiem, a skutek ten przez taką właśnie akcję może być ułatwiony lub nawet nieco przyśpieszony.

Owo wychowanie narodu „do realizmu" nie jest sprawą ani prostą ani szybką. Artykuły i książki jeśli zbyt daleko odbiegają od przeciętności współczesnej — jedynie z wielkim trudem uzyskują zamierzone sukcesy, — i to częściej u potomnych, niż współżyjących. Współczesnych kształtują — powtórzmy raz jeszcze — perypetie polityczne, okoliczności życiowe, warunki gospodarcze — one dopiero stapiając się z oddziedziczonymi nawykami myślowymi dają nowy światopogląd, rodzący się często mimo woli tych współczesnych. Natomiast wypowiedzi, które zbyt ostro burzą utarte koleiny myślowych schematów — drażnią, powodują odruchowy sprzeciw.

Ludzie łatwiej ulegają przymusom, o których nie mówi się głośno, niż zgadzają się na publiczne ich afirmowanie. A najbardziej nie lubią zbyt radykalnych rachunków sumienia wobec przeszłości, czczonej od lat. Dlatego książka Bocheńskiego przyjęta została raczej niechętnie. Dlatego też lansowaniem opinii niepopularnych zawsze łatwiej zajmują się niezależne jednostki lub niewielkie grupy niż rządy czy partie masowe. Rządy różnych państw realizując swoje — nader rewolucyjne niekiedy cele — na ogół (chyba, że dochodzi do jawnej rewolucji!) wolą je osłaniać siatką zdań zgodnych z pospolitymi odczuciami społeczeństwa.

Podobnie i u nas. Publicystyka prorządowa znacznie mniej rozprawia o owym „realiźmie w polityce". Nie podchwyciła ona postawionego przez Pruszyńskiego problemu Wielopolskiego. Cecylia Bobińska broni powstań polskich XIX wieku („Nowe Drogi" nr. 4) przed Dominikiem Horodyńskim. Jerzy Borejsza w bardzo wyczerpującym pamflecie na Mikołajczyka drukowanym swego czasu w „Przekroju" nie uczynił Mikołajczykowi zarzutu z Powstania Warszawskiego.

Ten stan rzeczy nie jest przypadkiem. Pisarze i publicyści obozu rządzącego są ludźmi, którzy od lat paru uprawiali nader realną politykę i doczekali się na koniec objęcia władzy w Polsce przez ich ideowych towarzyszy. W Polsce — to jest w kraju i w narodzie, który przynajmniej do zakończenia wojny był w swej większości nastawiony niechętnie do tej linii politycznej, która w zespole innych kierunków — okazała się jedynym realnym. Stąd dla czynników kierujących wyrasta konieczność (jest to zwykły los kierujących!) posiadania wspólnego, komunikatywnego języka z narodem. A doświadczenia uczą, iż do szerokich rzesz społeczeństwa polskiego najmniej przemawiają te właśnie sformułowania, które z góry określają się stemplem „politycznego realizmu", hasłem przystosowania się do konkretnych możliwości politycznych, gospodarczych, geograficznych. Polacy w postawie węszą od razu opurtunizm, kapitulanctwo, rezygnację. Odczuli to wszyscy dawniejsi „realiści" a i dzisiejszym ten los nie obcy.

Lewicowa publicystyka nie sięga po słowo „realizm", nie propaguje historycznego rewizjonizmu — gdyż dba o opinię, o to, by swą niewątpliwie realną politykę móc przeprowadzić z najmniejszym oporem. Zresztą nie czuje ona wewnętrznej potrzeby przekonywania siebie samej, a to jest zawsze najsilniejszym powodem namiętnych politycznych wypowiedzi. Stąd pasja braci Pruszyńskich, sarkazm Bocheńskiego, precyzja Osmańczyka i patos Malewskiej.

Inaczej publicystyka nieodpowiedzialna aktualnie za rozstrzygnięcia polityczne. Ta może sobie pozwolić na luksus wytykania narodowi jego przywar, na luksus mówienia mu rzecy nieprzyjemnych. Chce ona wobec tego przyjąć na swe barki działalność wychowawczą w kierunku uzdrowienia wykoszlawionej psychiki Polaków.

Dzieło Aleksandra Bocheńskiego jest taką właśnie próbą. Trudną — ale oryginalną bardzo ciekawą i wartościową. Czy tylko te publicystyczne próby potrafią dopiąć swego zbożnego celu? Pytajnik z powyższego zdania wymazać będą mogli z rezultatem pozytywnym czy negatywnym — dopiero nasi wnukowie.

Kazimierz Koźniewski

*) Aleksander Bocheński „Dzieje głupoty w Polsce". Pamflety dziejopisarskie. Wyd. „Panteon" Warszawa 1947, str. 332.

Czwarty strzał

Okupacja, 1943 rok, miasteczko podwarszawskie*). Granatowy policjant, Franciszek Kłos, otrzymuje pewnego dnia od podziemia wyrok śmierci. To samo spotyka trzech Niemców. Kłos dobrze strzela, nie ma skrupułów, postanawia się bronić. Do spółki z Niemcami klnie przy wódce na „polskich bandytów". Nie boi się. Nim zginie, jeszcze go „żydowskie wojtki" po-



Stanisław Rembek

pamiętają. Tymczasem już w dzień po nadesłaniu wyroku jeden ze skazanych zostaje „sprzątnięty" w swoim własnym gabinecie. Miasteczko jest podniecone oczekiwaniem na represje, represje jednak nie nadchodzą. Nim podniecenie osiadło, pada druga kula. Uderza celnie, ale jeszcze nie w Kłosa. Policjant zaczyna tracić pewność siebie, w każdej sylwetce dostrzega „tych z organizacji". Podejrzliwość wzbiera, męczy. Kłos pije, bo to daje zapomnienie. Równocześnie tropi i likwiduje Żydów — to daje poczucie siły. Likwiduje już dla satysfakcji, nie z rozkazu. Zwierzchnicy zaśmiewają się z jego zajadłości. Gorliwość ma jednak swoje granice. Zastrzeliwszy pewnego dnia kobietę, której niearyjskość okazała się potem wątpliwa, Kłos przeholował. Niemiec rozkłada go pięścią, potem kilku kopniakami wrzuca do aresztu. Na tym się wprawdzie skończyło, ale ta nagła degradacja nie obeszła się bez psychicznego wstrząsu. Policjant się rozkleja. Do tej pory sądził, że ma w Niemcach oparcie. Złudzenie się rozwiało, a „ci" znów dają o sobie znać. Gdy Kłos wychodzi z aresztu, czeka go wiadomość, że jego dotychczasowy przyjaciel, żandarm Kranz, dostał w „czapę". Trzeci. Wyroków było cztery. Idąc do domu, Kłos widział na rogach wszystkich ulic sylwetki młodych ludzi, którzy przyszli z nim skończyć. Był osaczony, przynajmniej tak mu się zdawało. Nie mając wyjścia skrył się w kościele. Odprawiało się akurat nabożeństwo, podczas którego odmawiano między innymi modlitwy za Żydów. „A więc Kościół katolicki jest za Żydami?" (115). Kłos zaczął teraz błagać Boga żarliwie o szczęśliwy powrót do domu. „I — jak mówi autor — doznał cudu" (115). Cud polegał chwilowo na przypomnieniu, że w kościele są boczne drzwi, którymi niespostrzeżenie można wyjść na zupełnie inne ulice. Wychodzi. Co dalej? Pomijając już perypetie intermezza, zaznaczmy tylko, że po dwóch dniach Kłos wraca. Do konfesjonału. Gdy, strząsnąwszy z siebie wszystko, otrzymał rozgrzeszenie, został innym człowiekiem. Wyrażenie jest gładkie i banalne, niemniej Kłos się w istocie odmienił: przestał pić, nie brał łapówek, nie likwidował. Otoczenie widzi metamorfozę, widzą ją pewnie i „ci", bo czwarty strzał nie pada. Kłos nosi w kieszeni różaniec. „Chodził teraz wszędzie coraz spokojniejszy i bezpieczniejszy" (136). To konsekwencja „cudu".

Czy ostateczna? Gdyby była ostateczna, „Wyrok na Franciszka Kłosa" należało by wtłoczyć między literaturę jarmarczną. Tymczasem jest to powieść... Nie uprzedzajmy jednak wniosków. Wróćmy do Kłosa. „Niedługo w ogóle zapomniano by o jego zbrodniczej przeszłości, gdyby nie zaszły nowe, straszliwe wypadki..." (136). Wypadki, w których konsekwencji Kłos „wraca do siebie", bierze czynny udział w pacyfikacji własnego miasteczka, a wreszcie — w nagrodę — zostaje „nobilitowany" na folksdojcza. Żona nie chce takiej nagrody, ucieka od niego wraz z dziećmi. Kłos jedzie po nią. Na peronie, kilkaset metrów od budynku dworcowego, pojawiają się nagle „ci". Pada czwarty strzał. Oto ostateczna konsekwencja „cudu".

Ten strzał każe mówić z uznaniem o autorze. Zakończenie powieści cudownym happy endem, byłoby zakończeniem fałszywym, natomiast strzał jest logiczną konsekwencją rozwoju wypadków i charakteru Kłosa. Gdy pisarz potrafi wyśledzić logikę stworzonej przez siebie fikcji, należy stwierdzić, że opanował umiejętność najważniejszą. Utyskiwał kiedyś Walldorf, że u nas powieść: albo jest pierwszej klasy, albo ostatniego gatunku. Ponieważ pierwsza klasa nie dla każdego jest zrozumiała, ostatni gatunek ma licznych wielbicieli. Przypominając ten uproszczony podział, chcemy wytypować „Wyrok na Franciszka Kłosa" jako pożądaną dla czytelnika powieść drugiej klasy. Dlaczego drugiej?

Logiczna, jak powiedzieliśmy, w rozwoju wypadków, powieść obejmuje jednak dość wąski odcinek życia. Na odcinek ten każe nam ponadto autor patrzeć wciąż tymi samymi oczami narratora, utwór bowiem ma charakter opowiadania, snutego przez świadka wszystkich zdarzeń. Narracja musi się z konieczności po wielu sprawach ślizgać. W powieści np. ślizga się prawie bez wyjątku po ofiarach Kłosa. Szkoda. Opis przeżyć bodaj jednej jego ofiary lepiej by nam oświetlił centralną postać książki. Powieść zyskałaby na głębi. Kwestia inna: autor wprowadza często komentarze natury publicystyczno-moralizatorskiej. Jakieś, nie wiele znaczące posunięcie Niemców musi np. opatrzyć porównaniem: „Bo jak Hiszpan nie potrafi obejść się bez walki byków, Anglik — bez sportu, Włoch — bez śpiewu, Polak — bez uroczystych obchodów, a Francuz — bez miłostek, tak Niemiec nie wyobraża sobie życia bez mordowania bezbronnych i bez znęcania się nad słabszymi od siebie" (150). To banał i podobnych banałów komentatorskich jest sporo. Uderza również banalność języka. Na 200 stronach nie widać ani jednej oryginalnej metafory. W wielu miejscach natomiast przenośnie przypominają cytowane już porównanie („dłoń niby szpony jastrzębia" — 11). Proza Rembeka jest niewymyślna. Dodajmy jeszcze jedno: zbrodniczość i renegactwo Kłosa to zbrodniczość i renegactwo alkoholika. „A przecież nie był to człowiek z gruntu zły (...). Gdyby nie wódka i nie złe towarzystwo, mógłby zeń być nawet całkiem porządny człowiek i lojalny obywatel" (198) — konkluduje autor po czwartym wystrzale. Godzimy się na prawdziwość motywu, nie możemy mu jednak przyznać zbyt wielkiej wartości artystycznej. Za łatwo się nim tłumaczy.

Mimo to powieść „bierze". Bierze ciągłą akcją, bierze umiejętnością równomiernego utrzymania napięcia. Intryguje do końca. Większość utworu wypełniają opisy „likwidowania": z tej i z tamtej strony. Jest ich dużo, każdy jednak zawiera jakieś cechy szczególne, wyodrębniające. Sytuacji Rembek nie przejaskrawia, potrafi sugestywnie oddać atmosferę osaczenia oraz maniakalne stany alkoholika. Poza Kłosem prawie żadna postać nie interesuje autora głębiej, mimo to każda ma swój profil psychiczny, nie podobny do innych.

Resumując: logika wydarzeń, umiejętność ich ciekawego podania, różnorodność sytuacji i typów psychicznych oraz zwarta, odpowiadająca sytuacjom, proza — czynią z utworu Rembeka dobrą powieść drugiej klasy. Przed awansem wstrzymuje ją uproszczenie problemu renegactwa, zacieśnienie kręgu zdarzeń, wyskoki publicystyczno-moralizatorskie i banalność języka. Czy wstrzyma przed awansem i Rembeka, pokaże przyszłość. Niezależnie od tego „Wyrok na Franciszka Kłosa" nie jest jeszcze jednym reportażem okupacyjnym.

Jan Gawałkiewicz

*) Stanisław Rembek. *Wyrok na Franciszka Kłosa.* Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, Warszawa 1947. Stron 201.

Straszny dom

Nieustający w swojej produkcji pisarskiej Jan Dobraczyński wydał w ostatnich dniach nakładem poznańskiej Księgarni, Zdzisława Gustowskiego nową książkę — tom składający się z opowiadań i nowel, któremu autor nadał tytuł centralnego, największego z nich: „Straszny dom". Ten główny utwór zawiera znaczny ładunek problematyki społecznej, gdyż bohater jego, konspiracyjny publicysta Zygmunt zapoznawszy się dzięki swemu zbliżeniu do żyjącej w nędzy dziewczyny, z wegetacją warszawskiego przytułku „Polus", chce obok zasadniczego celu swej nielegalnej pracy w okupowanej Warszawie, obok walki o niepodległość, postawić dążenie do zmiany stosunków społecznych, co spotyka się z niezbyt przychylnym przyjęciem ze strony jego organizacyjnych zwierzchników. Przy tym głównym motywie „Strasznego domu" występuje osobisty dramat Zygmunta, który odsuwając się od mieszczańskiej i bezideowej żony wiąże swe uczucia z owym typem dziewczyny z tzw. „nizin społecznych". Dość ciekawie zarysowują się w tym utworze sylwetki wybitniejszych działaczy konspiracyjnych.

Opowiadania pozostałe — to drugorzędne nowelki ze „Życia literackiego" „Stasiek" — przejmujący fragment życia chłopca-żebraka, któremu [illegible] dziecięco-męską ambicję nie pozwala swemu młodzieńczemu sercu poddawać się poniżeniu i — dłuższe znowu — „Miłosierdzie". W „Miłosierdziu" Dobraczyński na podstawie autentycznego pamiętnika [illegible] ludzi, którzy [illegible] przebyli [illegible] w podziemiach [illegible] okupowanej Warszawy. Centralne postacie tego obrazu to [illegible] i troską [illegible] kilkunasto[illegible] wolności bohaterską śmiercią rehabilitujący się w walkach powstańczych.

W tych trzech opowiadaniach powstałych w różnych okresach („Stasiek" — 1942, „Straszny dom" — 46/47, „Miłosierdzie" — listopad 46) Dobraczyński na szczęście unika swej słabszej strony — obszerniejszych dywagacji filozoficzno-ideologicznych, główny nacisk kładąc na narrację, w której przecież zawsze czuje się najpewniej. Dlatego też opowiadania te, utrzymane w ramach prozy tradycyjnej, czyta się chętnie, z zainteresowaniem i na pewno spotykają się z szeroką poczytnością choćby ze względu na swą łatwość apercepcyjną i szlachetną tendencję moralną.

Autor decyduje się w nich na szczere przedstawienie i pewnych cieniów konspiracji i nierzadko negatywnego stosunku matek do udziału synów w walce, i brudów warszawskiego przytułku dla bezdomnych. Nie unika również koniecznych dla całości scen dramatycznych.

Treść utworów przesyca oczywiście swą postawą religijną, przy czym dąży do uzyskania we wszystkim wydźwięku, jaki przebiją ze słów zawartych w zakończeniu „Strasznego domu": „*Mówimy wciąż, że walczymy o katolicyzm. Przestańmy się tym zasłaniać. Katolicyzm trzeba znaleźć w naszym własnym stosunku do człowieka. Człowiek bowiem jest wszędzie, ale przede wszystkim tam — gdzieśmy odeszli*"...

Do wad „Strasznego domu" należy wynikające prawdopodobnie z pospiechu przy pisaniu, zaniedbanie gdzie niegdzie języka (co widać choćby w ostatnich słowach przytoczonego wyżej cytatu). Dobraczyński przepuszcza takie zwroty jak: „z coraz szybszą szybkością", „oko mu *się* łzawiło", „coś tam na boku handlował", lub nic nie mówiące: „zrobił zręczny ruch dłonią". Zdarzają się też niedociągnięcia albo wprost objawy słabości w psychologicznym uzasadnieniu postępowania bohaterów. Szwankuje także korekta. W sumie: „Straszny dom" stanowi nowy nabytek polskiej literatury wartościowo-popularnej.

Tadeusz Lutogniewski

Korespondencja

O prawdziwą historię Opola

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem P. Romana Horoszkiewicza, p. t. „O prawdziwą historię Opola" („Odra 28. IX. 1947), poświęconym drobiazgowej analizie historycznych danych o Opolu zawartych w pracy prof. St. Makosza: „Dzieje miasta Opola" oraz w artykule o Opolu w mej książce: „200 miast wraca do Polski" pragnę wyrazić tą drogą P. R. Horoszkiewiczowi wdzięczność za jego intencję i za wskazanie mi niedokładności, które nie omieszkam sprostować w razie potrzeby drugiego wydania „200 Miast". Dla usprawiedliwienia się przed czytelnikami którzy darzą sympatją moją historyczną pracę, podaję że jako zawodowy literat podjąłem się na wiosnę 1945 r. napisania w ciągu 10 miesięcy „200 Miast" z tych samych pobudek obywatelskich, które kazały mi na początku ostatniej wojny, wstąpić do wojska jako prosty żołnierz, a zdjąć mundur starszego sierżanta w kraju w dniu 29 września 1939 roku. Pisałem „200 Miast" odkładając z warsztatu literackiego parę tomów powieści czekających opracowania i wykończenia. Korzystałem tylko z tych źródeł które miałem pod ręką, próżno szukając np. wspomnianej przez P. Horoszkiewicza pracy Hausdorfera: „Die Piasten Schlesiens"... W mym artykule o Opolu na pięciu stronicach znalazło się miejsce dla 195 nazw miejscowości i osób, 47 daty historyczne, 20 różnych liczb, 20 cyfrowych tytułów książąt i królów, razem ca. 265 pozycji wśród których łatwo mógł się zakraść błąd, zważywszy że w całej książce jest ponad 2.500 dat historycznych.

P. Roman Horoszkiewicz poprawił z tego 11 pozycji, w tym cztery błędy drukarskie, a dwie niedokładności z winy skrótów, musiałem się bowiem streszczać jak najbardziej, podając nie historię, ale jej skrót zaledwie. Nie miałem czasu przeprowadzić sam korekty, a wydawcy mieli wiele pracy z trudnym, pełnym poprawek rękopisem książki. Dzisiaj warunki pracy historycznej i wydawniczej już są o wiele wdzięczniejsze nie były w 1945 i 1946 roku.

Uprzejmie proszę Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie tego listu w swym poczytnym Piśmie, bym mógł tą drogą podziękować publicznie mym Czytelnikom za udzielone mi dotychczas korekty i zachęcić Ich do dalszej współpracy.

Z głębokim poważaniem:

Władysław Jan Grabski

Jeszcze Gołubiew

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nr 41 „Odry" Wojciech Żukrowski daje odpowiedź na mój artykuł, zamieszczony w nr 38 „Odry" („Czy rewolucja mas u Gołubiewa").

W swej dł.ugiej odpowiedzi Żukrowski okazał się przykrym dyskutantem; z jego repliki przebija złość, a złość jest złym doradcą. Żukrowski a) f a ł s z u j e moje cytaty, by mnie ośmieszyć (tego się nie spodziewałem), b) insynuuje mi pewne tezy, których dalibóg nie głosiłem i wyraźnie wiąże mnie z . . . faszyzmem (no, no, to wesołe), c) sprawę zasadniczą traktuje wyniośle, podtrzymując tezę, że to zrewolucjonizowane masy wyniosły Bolesława do historycznej roli, co wydaje mi się niezgodne tak z historią jak i z rzeczywistością zawartą w dziele Gołubiewa, d) objawa przed światem fakt, że los uczynił mnie magistrem polonistyki i przemawia do mnie per „magistrze" (można by jeszcze dworować z innych moich tytułów, boć byłem już w życiu pomocnikiem murarskim, gońcem, stróżem nocnym i. t. p.).

„Onieśmielony student" Wojciech Żukrowski zaskoczył mnie metodą polemiczną i krzykiem. I on już nie umie rozmawiać!? Jest źle.

Zaskoczony **Zbyszko Bednorz**

Aktyw literacki Wrocławia



ANNA KOWALSKA — wydała wspólnie z Jerzym Kowalskim trzy zbiory opowiadań: „Catilina" (1931) „Mijają nas" (1932) i „Złota kula" (1933) oraz dwutomową powieść pt. „Gruce".

Przed wojną współpracowała z lwowskimi „Sygnałami", obecnie zamieszcza swoje publikacje w „Twórczości", „Nowinach Literackich" i w „Odrze". Kieruje wrocławskim Kołem Miłośników Literatury i Języka Polskiego, jest główną inicjatorką „czwartków", redaguje wespół z Tadeuszem Mikulskim „Zeszyty Wrocławskie".



DR TADEUSZ MIKULSKI, prof. historii literatury polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, autor szkiców literackich, omawiających wrocławskie okresy życia i pobyty we Wrocławiu różnych pisarzy polskich. Szkice te drukowane pojedynczo w „Odrze" i „Zeszytach Wrocławskich" ukażą się niebawem w zbiorze pt. „Spotkania wrocławskie". Tadeusz Mikulski redaguje wespół z Anną Kowalską „Zeszyty Wrocławskie".



STEFAN ŁOŚ, wiceprezes Oddz. Dolnośl. Zw. Zaw. Lit., autor wielu powieści i opowiadań dla młodzieży, nagroda im. St. Gawińskiego za najlepszą pracę literacką o tematyce emigracyjnej. W druku powieść o Wrocławiu „Wilkołaki". Poprzednio wydał „Księżniczkę Mafalda", „Przygody w Serra do Mar", „Niespodziewany lot" i „Szajkę".



WOJCIECH ŻUKROWSKI, autor „Z kraju milczenia" i „Porwania w Tiutiurlistanie", prezes Dolnośląskiego Oddziału Zw. Zaw. Literatów Polskich we Wrocławiu. Współpracuje z „Twórczością", „Odrodzeniem", „Odrą" i „Nowinami Literackimi". W druku znajdują się dwie nowe jego książki. Obie wydane dotąd książki ukażą się za granicą w kilku językach.

Wśród czasopism

Sądząc po prasie literackiej, skończyły się ogórki, zaczyna się sezon. Wprawdzie niektóre pisma literackie właśnie w okresie ogórków zademonstrowały wyjątkowo wysoki poziom redakcyjny i wyjątkowo interesującą treść a teraz raczej przysiadły jakby zmęczone, ale w całości problematyka naszych periodyków literackich nabrała ostatnio rozmachu, mobilizuje czytelnika i już przez samą swą ważkość, niezależnie od zajmowanego przez poszczególnych autorów stanowiska, staje się źródłem poważnej satysfakcji dla czytającego.

Jest więc szeroki wachlarz spraw w pismach literackich, które budzą zainteresowanie, które każą stwierdzić, że przy ogólnym, wyraźnym i niepokojącym upadku strony redakcyjnej w prasie codziennej, periodyki służące sprawom społeczno-kulturalnym, w szczególności społeczno-literackim, stoją wysoko i reprezentują na ogół nieprzeciętną klasę. Większość z nich intensywnie pobudza krążenie myśli i spełnia doniosłą rolę w urabianiu postawy nowego typu Polaka. Tak mi się wydaje i nie czuję jakoś wyrzutów z powodu daleko posuniętego optymizmu. Owszem, jestem w swej roli sprawozdawcy prasowego nawet nieco zakłopotany, gdy przychodzi mi wybierać tematy do zreferowania lub polecać łaskawe zwrócenie uwagi na takie czy inne wystąpienie któregoś z naszych pisarzy, krytyków czy publicystów. Bo pozwolę sobie ukradkiem zwrócić uwagę czytelnikom, że publicystyka nasza usunęła się ze szpalt dzienników, znikła stamtąd niemal zupełnie, chroniąc się po tygodnikach literackich i ideologicznych czy nawet po miesięcznikach.

Przełamując to zakłopotanie, chciałbym zwrócić uwagę na niektóre sensacyjki literackie w dobrym guście i poważniejszym znaczeniu tego słowa. Taką sensacyjką jest doskonała i przekonująca obrona postawy pisarskiej młodego i hojnie przez prasę katolicką potępianego prozaika („mówię, bom sam pełen winy") Tadeusza Borowskiego podjęta przez bojowego publicystę *„Tygodnika Powszechnego" Pawła Jasienicę* (nr 133 „Spowiedź udręczonych"). Nie do pogardzenia jest i Gołubiew. Ten tak sprzecznie i skrajnie oceniany autor olbrzymiej powieści o Bolesławie Chrobrym, drukuje obecnie również w *Tygodniku Powszechnym* opowiadanie tematycznie związane z tułaczką wojenną pt. „Zbrodniarz" (początek w nrze 134), daje więc swoją próbę sił w prozie niehistorycznej, próbę, która godna jest uwagi dla wysnucia wniosków dla dalszego rozwoju tego pisarza, któremu nikt nie pamięta „Mędrców na arenie" wydanych w r. 1935 w Wilnie. To byłaby ciekawość. Jeśli natomiast chodzi o inną ze wspomnianych sensacyjek w dobrym guście, to jest nią niewątpliwie „Słowo podsądnego" czyli *Jarosława Iwaszkiewicza* jako laureata nagrody „Odrodzenia" (*Nowiny Literackie* nr 31), który z kolei w sposób wysoce kulturalny i taktowny negliżuje swoich krytyków i antagonistów i daje cenne wyznania na temat swej twórczości. Z innych ciekawych wydarzeń warto zanotować, że *Ryszard Matuszewski* pozostawił w kraju poezję i wyjechał do Niemiec. Czytelnicy z Ziem Odzyskanych odrazu pomyślą, że jako repatriant. Nie, bo już chyba stamtąd powrócił i zaczął publikować wyniki swej podróży: w *Kuźnicy* zapoczątkował w nrze 42 *Notatki z podróży do Niemiec* a w *Odrodzeniu* (nr 42) dał interesujący dialog o *Poszukiwaniu dziesięciu sprawiedliwych*. Dlaczego interesujący? Tym określeniem nie chciałem bynajmniej „załatwiać" tej pozycji. Interesujący dlatego, że zaczyna się mottem ze „Spraw Polaków" Osmańczyka, mówiącym o powrocie Niemców do rodziny narodów świata, i że sam jest poszukiwaniem dróg, którymi możnaby dojść do jakiegoś dogadania się z Niemcami, poszukiwaniem zwłaszcza wśród postępowych pisarzy współczesnych Niemiec ludzi, którzy mogliby te drogi torować.

Dwie grubsze pozycje z najnowszej prasy literackiej zostawiłem sobie dla efektu na drugie danie. Pierwsza z nich to dalszy ciąg *dyskusji o współczesnej prozie polskiej*. Zapowiedź się spełniła, dyskusja rozwija się a ingerencja Ważyka sprawiła, że nawet ruszyła ostro z kopyta, bo tak to chyba można nazwać, skoro *Kuźnica* zbiera cięgi na własnych łamach razem z Żółkiewskim i „śpiącymi marksistami", których królem nieoczekiwanie został (przepraszam za monarchistyczną metaforę) nie kto inny jak dr J. P. Zajączkowski, którego „postać", jak się okazuje, Ważyk „zna i ceni" i którego casus bawi go w sposób zgoła nieoczekiwany. Tu już żadne referowanie z mojej strony nie pomoże. Polemika rozsadza ramy prasowego sprawozdania i wymaga od czytelnika bezpośredniego zainteresowania. Notujemy zatem: trzeci z kolei głos w *Kuźnicy* należy do znanego nam ze wcześniejszego okresu „Odrodzenia" *Wincentego Bednarczuka* (nr 41). Pomijając zabawny szczególik, że ob. Bednarczuk bawi się trochę w Eleutera i bierze dosyć buńczucznie z odwoływaniem się na „historię, korektorkę wieczną" w obronę prozę Putramenta przed atakami Kotta i nazywa Putramenta swoim przyjacielem (kochają się chyba jak rodzeni bracia), na podkreślenie zasługują dwa twierdzenia autora: że proza nasza choruje na kompleks zachodni i czerpie wzory z reakcyjnych prądów kulturalnych Zachodu, oraz że musi być u nas podjęta wielka akcja wychowawcza zespołu pisarskiego, która obejmie w pierwszym planie krytyków, którzy sieją zamieszanie i powodują rozgardiasz w stabilizującej się z trudem naszej ideologii kulturalnej. Głos czwarty zabrał wspomniany już *Adam Ważyk*, który w ogóle przeszedł ostatnio do ostrej kampanii publicystyczno-krytycznej, dając w krótkim czasie szereg ważkich (bez kalamburu) i wartych poznania wypowiedzi (Odrodzenie i Kuźnica). Ważyk krytykuje dosyć dotkliwie linię myśli literackiej, reprezentowanej przez *Kuźnicę*, zarzuca jej brak dyscypliny i zygzakowatość, dyskwalifikuje współczesną, formalistyczną krytykę literacką, broni w imię interesu społecznego dobrej prozy narracyjnej, mającej swe bogate klasyczne już dziś rodowody, ustala dla tej prozy rozsądny „program pozytywny" i nawiązuje do postulatów Bednarczuka w sprawie postępowej, czujnej krytyki, zarzucając krytykom marksistowskim, że po prostu śpią, budzą się od czasu do czasu dla rzucenia jakiegoś protestującego pytania i zasypiają z powrotem. Ta część artykułu zawiera najwięcej ostrych sformułowań i ataków, w których oberwało się Szaniawskiemu za „Dwa teatry", „Odrodzeniu" za ankietę o Akademii Literatury i skład jury tegorocznej nagrody, Gołubiewowi, Pruszyńskiemu itd. Rzeczy na ogół już znane, teraz tylko podsumowane i zwrócone ostrzem przeciw tym także, którzy je dotychchczas podnosili, jako że, zdaniem Ważyka, czynili to zbyt dorywczo i zbyt nieśmiało. Tutaj też Ważyk najwięcej symplifikuje, najostrzej szarżuje, dając się ponosić temperamentowi, co może zaostrzyć dyskusję bez większej dla niej korzyści. Tu też w poszczególnych sądach możnaby się dopatrzyć u Ważyka pewnego rodzaju niekonsekwencji w stosunku do jego teoretycznych wypowiedzi na temat prozy. Ale to już zagadnienie szersze.

Druga grubsza pozycja to najnowszy, dziesiąty zeszyt *Twórczości*. Kupiłem go jak zwykle czym prędzej, ale nie tylko przez chęć odbicia sobie na wierszówce kosztów całego zakupu zamierzam omówić go szerzej. Ten zeszyt też chyba stanie się punktem wyjścia nowej dyskusji. Poświęcony jest teatrowi, a na czoło jego wysuwa się przeszło trzydziestostronicowy artykuł *Zygmunta Kałużyńskiego* pt. *Problemy powojennego teatru w Polsce*. Zagadnienia tu poruszone wymagają szerszego oświetlenia, więc odłożyć je trzeba do osobnych rozważań. Wiążą się one jednak ściśle z dyskusją o prozie, wchodzą w skład jednego zjawiska, które wyłania się ostatnio ze szpalt naszej prasy literackiej. Zjawisko to nazwać by można *wielką ofensywą kulturalną*, poważną próbą generalnego rozrachunku z bilansem trzech lat w dziedzinie kultury i dążeniem do wyraźnego skodyfikowania naszej ideologii kulturalnej. W ofensywę tą należy włączyć również omawianą tu swego czasu rzecz Żółkiewskiego o naszym programie kulturalnym z dodaniem do niej jego wypowiedzi w *Nowych Drogach* oraz umieszczonych ostatnio w *Kuźnicy* „Kilku praktycznych propozycji" (nr 41). Dochodzi tu jeszcze Kott z artykułem *Caeterum censeo...* (tamże), gdzie stawia postulat zorganizowania nowych opracowań podręczników historii literatury i historii Polski. Wszystko to wskazuje, że ofensywę prowadzi dotychczas wyłącznie nasza lewica literacka, że postępowi pisarze obozu katolickiego i ugrupowań mniej radykalnych nie doszli jeszcze do głosu. A dojść powinni. Decydują się tutaj i krystalizują sprawy zbyt ważne, które muszą ulec rzeczowemu i poważnemu omówieniu przy większym nacisku na ich meritum niż na wyzwalanie temperamentów uczestników polemiki. Obozy jeszcze się nie wyklarowały w tej ofensywie, ale jakby w oczekiwaniu tego faktu *Tadeusz Breza* próbuje w jakiś sposób przerzucić mosty pomiędzy nimi rozmową z *Jerzym Zawieyskim* (Odrodzenie nr 42). Takiego bowiem aspektu nabiera ta piękna rozmowa w zestawieniu z toczącymi się polemikami i z rozwijającym się atakiem kulturalnym lewicy. *(ski)*



— Słuchaj, czy ty wiesz, co to są egzystencjaliści?
— To są tacy jak my, tylko że piszą.

Rys. J. Hegenbarth

Kronika słowiańska

Pisarze czescy sądzą literaturę słowacką

Nie tak dawno słowacki tygodnik „Partizan" zwrócił się do pięćdziesięciu pisarzy czeskich z prośbą o udzielenie odpowiedzi na następujące pytania:

1. Co pan sądzi o dawniejszej literackiej twórczości słowackiej ze stanowiska estetycznego i narodowo-uświadamiającego?
2. Jaki jest pański pogląd na współczesną słowacką twórczość literacką?
3. Jak się pan zapatruje na posłannictwo twórczego artysty w dwuletnim planie budowania republiki?

Odpowiedzi, jakie otrzymała od czeskich pisarzy redakcja „Partizana", są obecnie komentowane także i przez prasę czeską. Nie od rzeczy więc będzie poznać wkrótce kilka najcharakterystycznych wypowiedzi znanych pisarzy czeskich na powyższy temat.

Ostrawski pisarz (który nie tak dawno obchodził jubileusz swych 60 urodzin) — Wojciech Martinek — twierdzi, iż literatura czesko-słowacka bez silnie dźwięczących tonów słowackich, tak nieraz ciekawych i oryginalnych, byłaby uboższa o swą podstawową część. Bo dla Czechów — ze wszystkich literatur słowiańskich nie może być żadna inna tak bratersko bliska, jaką właśnie jest literatura słowacka. Pisarz ostrawski zaznacza także w swej wypowiedzi, że wrażenie, jakie odniósł z przeczytania „Diejin Slovenska" (Historia Słowacji), która została wydana w latach wojennych przez Macierz Słowacką, było bardzo przygnębiające. Natomiast nie mógł się oprzeć głębokiemu wzruszeniu, kiedy po wojnie wpadła mu do rąk książka niedawno zmarłego poety słowackiego, Janko Jesenskeho, zatytułowana „Cierne dni" („Czarne dni"). Tomik tych wierszy, pisarz ostrawski ocenia w ten sposób: — „jakaż to szczera książka, jaki to głos statecznego słowackiego serca".

Czeski pisarz a zarazem krytyk, Franciszek Kowarna wyłuszcza inny pogląd, kiedy mówi, że czeski zachód posiada szczęście, iż jest gospodarczo silniejszy — co dla sztuki nie jest bez znaczenia. Słowacki wschód uzyskał swą bazę gospodarczą daleko później... chyba dopiero teraz. W chwili, kiedy nas dzieli język, malarstwo i plastyka, stają się mostem i starają się być pomostem między nami. Na to trzeba zwrócić specjalną uwagę — bo odgraniczeń nie ma i nie musi być, jakie stwarzają różnice językowe, w sztukach plastycznych.

Poeta Mirosław Hanusz formułuje tak swe stanowisko: Do literatury słowackiej będziemy zawsze wracali, aby ciągle to sobie potwierdzać, co nas łączyło w czasie, gdy byliśmy jeszcze podzieleni. Przyjmijcie me pokorne wyznanie: literaturę słowacką zaczynam dopiero poznawać i jeszcze nie mogę się odważyć na definicję. Ale z wdzięcznością powtarzam stale jedno nazwisko: Peter Jilemnicky. Piękno, które tworzy pisarz, niechaj jest pięknem radości i surowej prawdy. W tych dwóch zadaniach jest punkt ciężkości a zarazem odpowiedzialności jak i odpowiednik wolności pisarza. Nie tylko dzisiaj. Zawsze.

Trzeba nam tutaj dodać, że pisarz słowacki Peter Jilemnicky jest Czechem. Jest to pisarz wybitny, dorównujący prawie innemu, dziś „emigracyjnemu" pisarzowi słowackiemu, Milo Urbanowi, autorowi „Żywego bicza".

Jeszcze inna jest wypowiedź pisarza Jaromira Johna, który jest przekonania, że estetyczna wartość nie jest jedynym zadaniem dzieła. Przecie w życiu narodu słowackiego, jak i narodu czeskiego były takie okresy, kiedy literatura spełniała swe wielkie posłannictwo narodowo-ludzkie i to nawet bez względu na wymogi praw artystycznych. Modernistyczna twórczość słowacka pilnie śledzi na swój sposób współczesne kierunki europejskie, a byłoby źle, gdyby postępowała inaczej. Jaki będzie ostateczny wynik czeskiego i słowackiego, zwiększonego zainteresowania się poetami i prozaikami słowackimi, to nam pokaże najbliższa przyszłość. Następstwem tego będzie raczej wzbogacenie tematyki, nowy pogląd na człowieka a nie zdobycze formalne, stylowe. Odpowiadając na trzecie pytanie ankiety — Jaromir John jest dość kategoryczny, bo zauważa, że pisarz powinien się kierować większą moralną świadomością w swej twórczej, intensywnej pracy... na którą nie wpływa żaden urząd, żaden sekretariat... nikt, jedynie i tylko twórca!

Pięknie definjuje swój pogląd na literaturę słowacką pisarz czeski Jarosław Pechaczek, doceniając ją w pełni. Pechaczek powiada, że znaczenie autorów słowackich, jeśli chodzi o uświadamiającą społeczeństwo słowackie pracę narodową i socjalną, jest większe bodaj niż znaczenie pisarzy czeskich. Najsilniejsze wrażenie na tego pisarza czeskiego wywarła nowoczesna proza słowacka pióra Krala (powieść: „Cesta zarubana"). Ten sam autor przyznaje się, że jeśli chodzi o sposób ujęcia pewnych tematów w literaturze słowackiej, to często zazdrościł go on pisarzom słowackim.

Dobrze będzie zakończyć ten „sąd" pisarzy czeskich nad literaturą słowacką glosą Wacława Kaplickeho — a właściwie jego wyrokiem, że słowacka literatura odegrała w dziejach minionego stulecia taką samą rolę, jaką spełniła odrodzeniowa literatura czeska. Obydwie te literatury czerpały ze wspólnego źródła. Bez tych literatur nie byłoby ani czeskiej ani nowej słowackiej literatury. Estetyczne wartościowanie tych literatur posiada znaczenie raczej drugorzędne. Modernistyczna literatura słowacka prędko wyrównywa swój krok z literaturą czeską, może nawet już go wyrównała.

Amelin Vonder

Na fali 19,43 metrów

Nie ma zapewne ludzi, którzy nie docenialiby pozycji Związku Radzieckiego w ogólnym układzie sił politycznych, nie ma na pewno takich, którzy — bez względu na poglądy polityczne — nie docenialiby wkładu narodów ZSRR w dorobek kulturalny narodów Europy.

Widzieliśmy kilkakrotnie tancerzy i aktorów Związku Radzieckiego, słyszeliśmy śpiewaków operowych, muzyków i utwory radzieckich kompozytorów. Docierają do nas tłumaczenia prozy i poezji radzieckich pisarzy, możemy przeglądać dziesiątki rosyjskich periodyków, poświęconych zagadnieniom literatury i sztuki. Widzieliśmy filmy wyprodukowane w ZSRR.

Nie dostrzegać tych znanych i oczywistych osiągnięć Związku Radzieckiego — znaczy być ślepcem. Nie chcieć ich dostrzec — to nie znaczy występować przeciw Związkowi Radzieckiemu, ale znaczy: występować przeciw samemu sobie, ograniczać swój horyzont spostrzeżeń i doświadczeń kulturalnych na bardzo szerokim odcinku. Nie wierzę, ażeby człowiek posiadający wyrobiony smak artystyczny, człowiek nawet negatywnie ustosunkowany do Z. S. R. R. — nie podziwiał baletu Mojsiejewa, nie zachwycał się prozą Szołochowa, nie przeżywał głęboko Piątej Symfonii czy Ósmej Sonaty fortepianowej Prokofiewa.

Jeżeli ktoś pochwala artykuły jakiegokolwiek doskonałego publicysty Zachodu — i jeżeli nie pochwala chociażby strony formalnej publikacji Ilii Erenburga — ten jest na pewno czytelnikiem ograniczonym. Jeżeli czyni to świadomie — tym gorzej dla niego.

„Perspektywa Odry" — słusznie. Ale trzeba mieć jakieś trzecie oko, chociażby cyklopie, którym będziemy patrzeć na Wschód.

Bądźmy czujni — patrząc na Zachód. Bądźmy pełni dobrej woli i uczciwego uznania dla wysiłku narodów młodego państwa radzieckiego. O nabieraniu nie ma mowy. Jeżeli film radziecki będzie źle zmontowany, napiszemy o tym, że film radziecki jest źle zmontowany. Nikt nas za to na Sybir nie wywiezie. Jeżeli powieść albo sztuka radzieckiego pisarza będzie prymitywna, napiszemy na pewno o tym, że powieść ta lub ta sztuka jest prymitywem. Narody Związku Radzieckiego nie podpisywały ze swoimi pisarzami kontraktu na wyłącznie same dobre dzieła. Tak jak my nie podpisywaliśmy kontraktu z ks. Piwowarczykiem i ze Stefanem Żółkiewskim na nieomylność we wszystkich poruszanych przez nich sprawach.

Jeżeli będziemy o osiągnięciach kulturalnych Z. S. R. R. milczeć, jeżeli nie będziemy informować społeczeństwa o tym co się dzieje na ogromnym obszarze socjalistycznego państwa — grożą nam chociażby tak skandaliczne kompromitacje w oczach całego kulturalnego świata, jak ta, że wydano w 1947 roku „Historię XX wieku"... i nie wspomniano w niej o tym, iż zdarzył się w tym dwudziestym wieku malutki incydent historyczny, ot, po prostu ni mniej ni więcej: Rewolucja Październikowa...

Wielu z nas ma błędne pojęcie o tym, co się dzieje w Z. S. R. R. Błędne, szkodliwe, wypaczone. Nie podróżujmy bezzębnie dokoła stołka. Weźmy stołek pod pachę i ruszmy w świat. Jest ogromny, niezwykły i wzruszający.

Andrzej Wydrzyński

Krótkie spięcia

Skromny projekt

Ostatnio mnożą się w naszych pismach literackich i nieliterackich wywiady z poszczególnymi mniej lub bardziej młodymi pisarzami oraz pisarkami. Ponieważ wywiady te nie zawsze stoją na należytym poziomie, więc niniejszym postaramy się podać dla użytku przyszłych „wywiadowców i wywiadowczyń" model czyli wzorzec, jak tego rodzaju interwiew powinien wyglądać.

Otóż powinien on wyglądać tak:

„Już od najwcześniejszej młodości interesowałem (-łam) się reformą rolną i upaństwowieniem przemysłu. Również zagadnienie spółdzielczości nie było mi obce.

Pierwsze moje wiersze zostały więc poświęcone wyłącznie tym tematom, ale niestety zaginęły mi one w czasie zawieruchy wojennej.

W tym okresie napisałem (-łam) też powieść, w której przedstawiłem (-łam) cykl rozwojowy małej mleczarni na tle przemian historycznych, ekonomicznych i społecznych w latach międzywojennych z uwzględnieniem jak najściślej stosowanego realizmu, ale nie mogłem (-łam) jej wydrukować wskutek sprzeciwu ówczesnych wydawców. Rękopis zaginął w czasie zawieruchy wojennej

Jeden (-dna) z pierwszych, a może nawet jako pierwszy (-wsza), zacząłem (-łam) zwalczać słowem i piórem brak zainteresowania w naszej literaturze dla spraw socjalnych, co znalazło swój wyraz w szeregu zamierzonych publikacji w prasie codziennej i periodycznej. Wszystkie te jednak nie opublikowane nigdzie dotychczas prace zaginęły w czasie zawieruchy wojennej.

Równocześnie starałem (-łam) się występować w tej samej sprawie na wieczorach autorskich, na podwieczorkach przed mikrofonem oraz na proszonych kolacjach. Ślady jednak tych starań zaginęły w czasie zawieruchy wojennej.

Później napisałem (-łam) sztukę teatralną na temat wpływu socjologii na geografię z uwzględnieniem jak najściślej stosowanego realizmu, ale sztuka ta nigdzie nie została wystawiona z powodu sprzeciwu ówczesnych dyrektorów teatrów. Rękopis jej zaginął w czasie zawieruchy wojennej.

Wielkie zaciekawienie wzbudziły również moje projekty kilkunastu essayów, dotyczących niesprawiedliwości wymiaru podatkowego ówczesnej epoki. Odczytywałem (-łam) je w gronie kilku dobrych znajomych i wszyscy je bardzo chwalili. Na nieszczęście essaye te zaginęły w czasie zawieruchy wojennej. Dobrzy znajomi także.

W międzyczasie zajmowałem (-łam) się poważnie kwestią naprawy ustroju społecznego wśród pszczelarzy, ale bez większego powodzenia. Brak tego powodzenia zaginął w czasie zawieruchy wojennej.

Poza tym próbowałem (-łam) uchwycić nieraz na papierze nurt współczesnych wydarzeń, a nawet kilkakrotnie to uchwycenie mi sie udawało, cóż z tego, kiedy wszystkie te uchwycenia zaginęły w czasie zawieruchy wojennej.

Po zawierusze wojennej nie ugiąłem (-łam) się pod brzemieniem losu, lecz wziąłem (ł-am) się energicznie do pracy. Pracuję twórczo. Mam zamiar wydać kilka powieści na tematy współczesne z uwzględnieniem jak najściślej stosowanego realizmu, dalej ze dwie trzy sztuki teatralne na tematy współczesne, potem cztery tomiki wierszy na tematy współczesne, dalej sto siedemnaście essayów na tematy współczesne, nie licząc artykułów, notatek, not i felietonów również na tematy współczesne.

Jestem bowiem pisarzem (-rką) współczesnym (-ną) i temu dawałem (-łam), daję i będę dawał (-wała) — wyraz." NIEJAKI X.

Kronika Szczecina

od 1. 9. do 15. 9.

Nauka:

2. 9. zorganizowana z końcem sierpnia br. Rada Kulturalna O. K. Z. Z. odbyła posiedzenie, na którym rozpatrzono wszechstronnie następujące sprawy: 1) zorganizowanie masowej rozsprzedaży biletów przez związki zawodowe, 2) ożywienie akcji kulturalnej w województwie szczecińskim, 3) utworzenie Filharmonii Robotniczej w Szczecinie.

10 i 11 9. odbyła się wielka konferencja naukowa Instytutu Bałtyckiego w gmachu Muzeum Morskiego. Konferencję zagaił dyr. Instytutu, Józef Borowik. Na zjeździe wygłoszono 16 referatów naukowych.

W wyniku dyskusji, odbytej w ramach konferencji naukowej Instytutu Bałtyckiego w Szczecinie, uchwalono rezolucję, uznającą konieczność powołania do życia ośrodka badań oceanograficznych. Badania te mają być powiązane z pracą organizowanego przez Instytut Bałtycki Muzeum Morskiego w Szczecinie.

Dn. 7, 8 i 9 września odbył się III Zjazd Przemysłowy Ziem Odzyskanych z udziałem najwybitniejszych przedstawicieli państwa, reprezentantów głównych placówek przemysłowych, korespondentów krajowych i zagranicznych oraz delegatów przemysłu czeskiego. W ramach III Zjazdu Przemysłowego urządzono w gmachu Muzeum Morskiego kilka interesujących wystaw, m. in.: 1) Wystawę prasy i wydawnictw Min. Przemysłu i Handlu, 2) Wystawę Pol. Związku Zachodniego, zawierającą eksponaty, ilustrujące dorobek prasy i wydawnictw Ziem Odzyskanych, 3) Wystawę fotografiki tematycznie związanej z pejzażem Ziem Odzyskanych, 4) Pokaz plansz, ilustrujących osiągnięcia poszczególnych gałęzi przemysłu.

Teatr:

4. 9. nastąpiło wznowienie „Dwóch teatrów" Szaniawskiego w teatrze „Komedia Muzyczna".

8 i 9 9. wystąpił znany balet Igora Mojsiejewa, laureata premii stalinowskiej.

W ostatnim dniu Zjazdu Przemysłowego wystąpił zespół dziecięcy w barwnych strojach narodowych z ciekawym widowiskiem. Był to zespół świetlicowy ze wsi Moszczenica koło Piotrkowa Trybunalskiego, liczący 60 osób. Zespół ten występował już w Gdyni i Gdańsku.

„Przegląd Socjalistyczny"

Już ukazał się numer 9-10 (23-24) „Przeglądu Socjalistycznego" za m. wrzesień — październik r. b. o następującej treści:

J. Cyrankiewicz: O polskiej drodze do socjalizmu.
St. Szwalbe: Nie ma wroga na lewicy.
J. Hochfeld: O roli i treści uchwał Rady Naczelnej PPS.
S. Arski: Doktryna Trumana i plan Marshalla.
W. Reczek: Osiągnięcia i zadania PPS na odcinku organizacyjnym.
G. Timofiejew: Żeromskiego droga przez wieś.

Kartki z historii socjalizmu

J. Gero: PPS w walce o reformę rolną w latach 1919—1922.
D. Kłuszyńska: Zygmunt Piotrowski.

Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

Idee — Myśli — Zagadnienia

Germanicus: Złudzenia demokracji w Niemczech zachodnich.
T. Rubach: 39 kongres SFIO.
J. Malecki: Zadania technika socjalisty.
N. N.: Nauczanie spółdzielczości na wyższych uczelniach.
M. Elczewski: Niektóre problemy wychowania partyjnego.
T. Głowacki: Imperializm.
A. Krygier: „Wspomnienia" Ludwika Krzywickiego.
M. Zawadka: Pożyteczne wydawnictwo.
L. Bukowiecki: Film doskonały.
Z życia partii.
Notatnik referenta.
Książki i wydawnictwa nadesłane.

Cena numeru: 40 zł. 41

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 21418